



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz *petitem* lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Gdybyż to można!...



Gdyby to można nudne, szare codziennego życia, pełne trosk i zabiegów o konieczne potrzeby, o drobne a syzyfowe prace, o to je dno ziarnko piasku, jedno nic, atom, bez którego jednak tak człowiek, jak ludzkość cała obejść się nie może, gdyby je można zamienić...

Nie, nie zamienić, lecz zmienić. Gdyby można drobiazgi codziennego życia z drogi usunąć i wprowadzić w jestestwo ludzkości promienną światłość, ozlaczającą i ogrzewającą ducha.

Gdyby można wszystko co wstrętne, brzydkie, cuchnące, zniszczyć, jako szkodliwe ziele, pasożyt, nie pozwalający na rozrost bujnego ziarna.

Gdyby można rdzę, co osiada na świeżo posianem ziarnie zamienić w rosę orzeźwiająca, ogrzaną dobroczynnym światłem i ciepłem.

Gdyby można światło to i ciepło rozpylić tak głęboko, iżby się dostało do wnętrza matki ziemi i do głębokości serc i myśli ludzkich.

Gdyby można usunąć przeszkody i ciernie, wpijające się głęboko nie tylko w stopy, lecz i w serca nasze.

Gdyby można na drodze życia spotykać ludzi dążących choćby innymi ścieżkami ale do jednego i tego samego celu... Celu, co się zwie odrodzeniem.

Gdyby można wszelką biedę i nędzę moralną zamienić w świadomość zła i poznanie własnej godności.

Gdyby z poczuciem tej godności wykrzesać w myśli i sercach ludzkich dążność do twórczej pracy, — pracy niepokalanej wyzyskiem i tą pracą wielką osnuć świat cały.

Gdyby można wykrzesać w każdym poczucie obowiązków i dążność do ideału, obywatelnictwo i apatyę zamienić w silną wolę, dążącą do raz powziętego celu.

Zjednoczyć wszystkie szlachetne pragnienia i w czyn je zamienić.

Zestrzelić myśli w jedno ognisko i jedno ognisko ducha.

Ognisko rozfałało szeroko, na kraj cały, przy którym mogliby ogrzać serca wszyscy ci, co są na poły zamarli.

Gdyby z tej połowicznej śmierci, co się zwie bezczynnością i niewiarą, zbudzić do czynu tych, którzy do niego nigdy ręki nie przyłożyli.

Tych, co go nie rozumieją, a potępiając pracujących, patrzą na nich z urągowskim.

Gdyby można wszystkich żyjących w beztroskiem próżniactwie, a zajmujących dużą przestrzeń na świecie, zaprząć chociaż na chwilę do ciężkiej taczki życia przez miliony dźwiganej...

Tym dźwigającym ulżyć ciężaru, otrzeć pot z czoła, przynieść ulgę stroskanemu sercu a z myśli ich zmieść przygnębienie.

Gdyby można myśl gnębiącą odsunąć, a sprrowadzić jasną, świetlaną, wskazującą choćby odległe, lecz pogodne horyzonty.

Gdyby można znaleźć balsam kojący na wszystkie rozognione, wiecznie krwawiące rany.

Powołać następne pokolenia do pracy, dać im hart duszy, ażeby, idąc z podniesioną głową, uniknęli ran tych, które obecnemu pokoleniu przeszłość zgotowała.

Gdyby można wszystkie serca natchnąć mężstwem i wytrwałością do znoszenia tak wielkich uderzeń losu, jak i codziennych ukłóć dotkliwy ból sprawiających.

Zaszczepić odwagę wypowiedania swoich zapatrywań i myśli, bez względu na drobne formułki światowe, lecz aby te zapatrywania i myśli miały cel szlachetny, prowadziły do pracy i czynu,

Odwagę bojowania wśród najtrudniejszych warunków, jakie życie przynosi.

Gdyby to życie zapełnione tak było miłością i pracą, iżby rachunek dnia każdego wielki dorobek dla społeczeństwa przynosił.

W młode pokolenie wlać taki hart ducha, któryby nie pozwolił zgąć się i złamać w upokorzeniu, splamić pochlebstwem i służbą w upodleniu.

Gdyby można wskazać nieznane dotąd drogi i po tych drogach, choćby z trudem, do wielkich, odradzających ducha celów, prowadzić.

Odradzać ludzkość, rozpoczynając odrodzenie od siebie samych, od najbliższych od tych, co krając łono matki ziemi, nie mają czasu podnieść czoła ku niebu, i od tych, co przewzięci dymem fabryk nie widzą nie po za nim i nie czują nic, prócz trujących wyziewów.

Gdyby można sto słońc zapalić nad tą ziemią zbiedzoną i pełną lęku, światło tych słońc rozpylić po najskrytszych i najciemniejszych głębiach i w sercach pełnych utrapienia i beznadziejnych myśli zatlić wiarę w potęgę i panowanie światłości.

Gdyby w serca i głowy dzieci błakających się po bezdrożach, dążących do ostatecznego upadku, wrzucić choćby małą iskierkę światła, nie dającą im stoczyć się w przepaść, przepaść, noszącą miano występku i zbrodni...

Gdybyż wstające zorze, jasne jutrenki, rzucały zawsze po promyku swej światłości i rozbudziły te drzemiące i nierozbudzone dusze i wskazały im, co wielkie i czyste, co potężne a proste.

Gdyby wschodzące słońce potęgi swojej, światła i ciepła użyczyło dla ogrzania i oświecenia głosek, wypisanych ręką przedwiecznej Prawdy, z którychby mogły czytać to, co potrzebne do uzacnienia serc ich, do odrodzenia i wyrwania z głębin ciemności...

Gdybyż to można...

Ach, siostry moje, gdybyż to można!

Z. Morawska.



Luźne kartki.



I.

Ach! odsunąć od siebie daleko, daleko
Wszystką gorycz istnienia, wszystką cześć
[zywota
I zdusić hydrę zwątpień, co w nas się szamo-
[ta,
I żyć pod wierną marzeń skrzydlatych opieką.

I uwierzyć w złudzenie—i brać za blask złota
Szych marny... niepamięci odgrodzić się rzeką
Od swych smutków i trwać tak, nim trumien-
[ne wieko
Zapadnie — i śmierć przedzę jasných snów
[rozmota.

Oto szczęście jedyne: tak płynąć w swej łodzi
Po falach wzdętych burzą, by nie drgnęło
[serce
Mieć wiarę w los, gdy życie najokrutniej zwo-
[dzi,

Niepatrzając w jutro — iść przez cierniste ko-
[bierce
Radując się najmniejszej słonecznej iskierce,—
Gdy nam załśni —
i niech tak dzień za dniem przechodzi

II.

Jerzemu Fr. Galińskiemu.

I ciągle widzę w mgłach
prastare, dawne dzieje
A marzeń moich tum,
bezdarnie zbudowany
Rzucony w wichru szum
łśni pękniętymi ścianami.
Wiem: upaść musi gmach,
co się w posadach chwieje

I pozostanie snem
ten blask, co w snach jaśnieje
Któż bronić ma od chmur
nawały niewstrzymanej
Ten słaby, lichy mur,
rdzą lat poprzegryzany —
Wesprzeć go niema czem:
już legły w proch nadzieje..

Dla tych, co wloką byt
bez wiary w jutra zorze
Przeszłość już tylko jest
życia i snów skarbnicą
Niechaj z niej biorą chrzest,
niech się jej słońcem syczy

I u nadgrobných płyt
kolana gną w pokorze...
Przyszłość się jawi im —
złowrogą nawałnicą...
Wczoraj — się zwiąło w dym —
i wrócić już nie może!

III.

Męstwo, co ducha ozdabia, jest rzadkim
Kwiatem w pustyni bez słońca i wód —
Czy je posiadasz — sam się zbadaj wprzód
Nim z kogo drwić masz, litować się nad kim.

Do lwiej jaskini wejdzie czasem ten,
Co drży o siebie i pragnie żywota —
Lub nad kałużą przedzę trwóg rozmota
W duszy swej ów, co zna tajń morskich den...

Wszystko jest względne:
rzucający świat
Tehórzem jest może większym, niżli ów,
Co dni w apatyi beznadziejnej pędzi...

I nieraz burza jest w ciszy bez słów,
I nieraz — szczęścia posiadł cudny kwiat
Nędzarz, co zawisł u skalnej krawędzi.

IV.

Cichy, posepny tłum
mych myśli zwolna płynie
W głąb duszy co śni mgłę.

rozdartą blaskiem słońca —
Uparcie wtargnąć chce,
o jej krawędzie trąca.
— I czuję: dawnych dum
drga echo w tej głębinie.

Wszystko, czem dawniej się
duch szczyił — już w ruinie,
W gruzy się rozpadł tum,
a nad nim ciemń milcząca,
Rozwiesza cienie swe —
i głuży nic nie zmaça
Nie żądam nic — dziś snu-m
spragniony jest jedyne.

Kto młodość miał, jak gwar,
jak pieśni ptaków cudną
I szalem żył — i drwił
z rozpaczy, łez, zawodu,
Niech go rozpala żar,
niech przedzie nie ułudną,

Lecz ten, co padł bez sił,
co przeżył się za młodu —
Już mu w marzenia czar
nowego wierzyć trudno,
W rozwiany patrzy pył —
i kona z wrażeń głodu

V.

Umarłej...

Życie ci było niby pieśń zerwana
Ze strun, co nigdy nie drgały weselem.
A ból — jedynym był ci przyjacielem
W męce żywota —
snów twych karawana

Wlokła się drogą, złem porosłą zieleń
A duch, tęskniący od dni swoich rana

Z doby obecnej.

Adwent, czy post myślowy? — Bezrobocie mózgow. — Po-
ścig za sensacją. — Losy hrabiowskiej żony. — Brutalność
opinii. — My i Galicya. — O ile Podkarpacie stoi wyżej od
nas. — Mężowie stanu galicyjscy, a posłowie z Królestwa. —
Czemu Galicya zawdzięcza swój rozwój? — O Związku nau-
kowo-literackim we Lwowie i przyczynach, dlaczego insty-
tucya taka nie może powstać w Warszawie?

Okres obecny ktoś nazwał „adwentem lite-
rackim“ i — był pochlebą społeczeństwa; do-
bę, w tej chwili przez nas przeżywaną, nale-
żałoby raczej udekorować określeniem: post
umysłowy! Tak, znaleźliśmy się w momen-
cie jak najbardziej suchych dni... Myśl straj-
kuje...

Ostatni tydzień był jednym z najtypow-
szych objawów naszego, szczególnie naszego
warszawskiego, zastoju umysłowego.

Rozdmuchanie sprawy hr. Zamoyskiej mó-
wi dostatecznie samo za siebie. A niestety,
przyznać to trzeba otwarcie, nie była to tyl-

ko afera chciwej sensacyi, obliczonej na roz-
przedaż numerów ulicznych prasy codziennej;
sama publiczność uczyniła ze sprawy kwestyę
dnia.. Od dzienników domagano się wiadomo-
ści, gazetom nakazywano pisać...

Rozumiemy jeszcze jednak pobudki cieka-
wości, a może „drżenia o losy“ hrabiny — jak
tego chcą świstki sensacyjne — dopóki zacho-
dziły obawy, czy osoba o nazwisku bądź co
bądź w kraju znanem, nie uległa tajemnicze-
mu napadowi złooczyńców. Ale rzecz rychło
się wyjaśniła: hrabina Zamoyska miała po
drodze wstąpić do kuzyna i — już się odnala-
zła.

Z tą chwilą, zdawałoby się, wszelkie zajmo-
wanie się szczegółami życia osobistego hrabi-
ny ustaje. Publiczność powinna zapomnieć
o wypadku, prasa — przestać o nim pisać.
Wszakże co może kogo obchodzić, jeżeli to
nie jest jakiś dyplomata, minister, panujący,
kto, gdzie, kiedy był i co porabiał?!

Zdawałoby się, że zbyt ubogim jesteśmy
narodem, zbyt wiele mamy trosk poważnych,
aby czas, papier, druk, języki ludzkie zuży-

wać — na omawianie faktu, co hrabina czyni-
ła w ciągu dwóch dni w okolicach stacyi
Małkini. Pomijam sam fakt niedelikatności,
nieprzyzwoitości, brutalności — wkradania się
do spraw, niepodlegających kontroli publicznej,
ale z ubolewaniem podziwiać należy możli-
wość w tak silnych, przełomowych chwilach,
zajęcia umysłów stolicy, a pewnie i kraju ca-
łego kwestyą tak błahą, tak nie nieznaczającą
dla ogółu polskiego.

Ogarnęła wszystkich gorączka jakaś, wszy-
scy dostali jakiegoś niewytłómaczonego ni-
czem wstrząśnienia mózgow. Ludzie biegali
po ulicach jak opętani, od suterena aż do
czwartych, piątych pięt rozbrzmiewało je-
dyne tylko tak sensacyjne nazwisko.

Bezrobocie rozumów! Smutny objaw zasto-
ju myśli polskiej! Przed rokiem jeszcze, kie-
dyśmy wszyscy myśleli poważniej, kiedy
dziennik czytało się dla artykułów publicy-
stycznych, wyzwolonych z pod jarzma cenzury,
kiedy wzrok społeczny sięgał w dal, szukając
nowych, szczęśliwszych dróg przyszłości, kie-
dy broszura polityczna wrywana była z rąk

Był, jako lira, wichrem zdruzgotana
Ziemskiego błota
 będąc wzgardzicielem...

A jednak maż ta życiowa cuchnąca
W uścisk chwytala niezłomny i silny
Twe biedne serce,
 tęskniące do słońca,

Aż zgasło, próżno śniąc w ciemni mogilnej
Dzień Zmartwychwstania, wschodzący słońecz-
[nie
I łak kobierce,
 gdzie Cisza trwa wiecznie...
 Tadeusz Kończyc.



Marya Czesława Przewóska.

ELLEN KEY

w świetle postępowych dążeń ruchu kobiecego.

ORAZ

REFORMY WYCHOWAWCZEJ.

Zarys syntetyczny.



(Dokończenie).

Staje się rzeczą nieodzowną rozważanie powikłanych zagadnień życia ze stanowiska etycznego. Nawa postępu odnaleźć musi straconą busolę, aby wypłynąć na pełne morze *prawidłowego* ustosunkowywania się życia ludzkości, które zabija *sztuczność*. Nasza myśl postępową, porażona radykalizmem, *przeszacowywania* *wszech wartości*, musi wyjść z tego okresu „tańca antypodów,” który bywa aż „stawaniem dęba” względem tego porządku rzeczy, gdzie szczytowym wierzchołkiem jest *głowa*, jako siedliska myśli, sfera ideału, a to

pod groźbą tryumfu niższych instynktów natury człowieczej, będących w antagonizmie wiekuistym z celami idealnymi. Jest to zaś *prawo natury*, przeciw któremu nie idzie się bezkarnie.

„Uczyńmy życie pięknem i prawdziwym — woła A. Mickiewicz. — Niech wszelki człowiek inteligentny i wolny staje się człowiekiem nowym, odrodzicielem i dobroczyńcą swojego rodzaju.” Rozpoczynamy życie nowe, bowiem życie takie, jakim je uczyniono, jest małe w swym charakterze, biedne w środkach, a niskie w dążeniach. Ale niech jedna myśl wielka nawiedzi człowieka, uczuje się od bogatszym od wszystkich bagaczów świata tego, gdyż ubogim był on przez ducha swego ubóstwo, przez jego jałowość. („Jak uczynić człowieka doskonałym”).

Taką reformę życia rozpoczynamy podstawowo głównie przez reformę wychowania. Reforma w duchu etycznym, dziś w dobie szalonego zamętu pojęć, wskazaną już jest ze wszech miar i względów.

Dla usiłowań w tym duchu szkoły polskiej poczerpnąć możemy wiele gotowych wzorów z kierunku wspomnianego już przez nas szkolnictwa amerykańskiego, rozwijającego się pomyślnie w bratnim nam duchu dążeń.

Za pierwszy stopień do reformy etycznej w wychowaniu uważa Amerykanin, Shaldon, podniesienie idealnego stanowiska takich pojęć, jak: *sumienie* i *obowiązek*.

„Musimy ponownie nadać świętość sumieniu w umysłach młodzieży naszej, — woła. — *Błahostką jest doniosłość spostrzeżeń w zakresie różnych „wierzeń ustalonych” w porównaniu ze szkodami, wynikającymi z utraty czci dla naszego sędziego wewnętrznego, właśnie w chwilach kształtowana się w nas instynktów wyższych, albowiem człowiek rozpoczyna wyższe życie duchowe dopiero od posłuszeństwa prawu sumienia.*”

Oto fundament kultury człowieczeństwa.

Wdrażajmy przeto w dusze młodzieży *część dla sumienia*, *poczucie obowiązku*. Zdrowy in-

dywidualizm nakazuje szacunek bezwzględny dla praw bliźniego; obowiązek ten ma być nam prawem sumienia. „Gwiazdy, zdążające wytrwale po drogach swoich — woła Sheldon, — spełniają swój „obowiązek.” Czyśmy również wytrwali w drogach swoich przez pojmovanie stosunku do świata, jako *prawami natury wskazanego nam obowiązku?*”

„Obowiązek jest u nas nakazem jaźni najwyższej (w rozwoju indywidualnym), zniewalającym nas do działania w taki sposób, jak-gdybyśmy nie należeli do siebie samych, ale do powszechnego układu, zmuszającego nas do posłuszeństwa najwyższemu prawom, jakich jesteśmy świadkami.”

Za jeden z sygnałów niezawodnych cywilizacyjnego upadku uważa Sheldon *zmniejszenie czci dla własnego poczucia obowiązku*. „Kiedy człowiek staje na stanowisku żołnierza, nie cofającego się przed ogniem bodaj najgorszym, w przekonaniu, że *umieścił go tam obowiązek*, wówczas dopiero staje on w szeregach twórców cywilizacji. *Pojęcie obowiązku jest w stosunku prostym do wyższości typu człowieczego, do jego wartości osobistej, a zarazem społecznej.*”

Na wzorach wielkich ludzi, bohaterów, młodzież w postępie idąca kształtować się powinna. Dzielnym po temu pomocnikiem będzie literatura. Pomniki czynów bohaterskich to przedmiot „literatury świętej” dla młodzieży. „Dzieci nasze — woła z zapalem Sheldon, ten apostoł *życia wyższego* społeczeństw, — niech uczą się na pamięć wzniosłych wyrażań wielkich ludzi, tak, jak przed dwoma tysiącami lat dzieci Palestyny wygłaszały z pamięci *patchnione* słowa wielkich wodzów swego plemienia; słowa, które świat późniejszy uczynił świętością — „Biblią.”

Dla szkoły polskiej, dla polskiego dziecka, jakimże wielkim skarbcem takiej „literatury świętej” jest wielka księga pomnikowej spuścizny duchowej wielkich wieszczów narodu tych „proroków ludzkości!” Czerpać z niej może całą pierś, wchłaniać duszą całą ol-

szła uświadamiać szerszy ogół, tak do niedawna bierny — sprawy, podobne do obecnej, nie nadawałyby się nawet do pomieszczenia drobnym drukiem na trzeciorzędnym miejscu w lichem, ulicznym pisemku.

Dziś... myśl przeżywa adwent, nie! przeżywa post, najstraszniejszy, bo smutny w skutkach post bezmyślności.

Przeciwnicy moi powiedzą mi: sensacją interesują się i we Francji, i w Niemczech, i w Austrii... a mimo tego narody stoją na wysokości!

Tak, ale zarówno Francja, jak Niemcy, jak Austria, nie karmią się, nie żyją jedynie tylko nowinką skandaliczną. Tam spólrzędnie ludzie pracują w instytucjach naukowych, społecznych, tworzą towarzystwa śledzenia rozwoju wiedzy.

A u nas? Chemikowi mówi się: zajmuje się pan chemią, ale praca pańska zgoła nie mnie nie obchodzi. Językoznawcy każemy się zamykać w pracowni na cztery spusty, aby nas nie nudził i nie wszczynął dyskusji, czy się mówić powinno „półgąsek,” czy półgąsek...”

Od matematyka uciekamy, jak od człowieka zapowietrzonego. Z historykiem „fachowym,” nie takim, co to pisuje feljetony historyczne, również wolimy się nie poznawać bliżej. O badaczach nauk państwowych lepiej nawet nie wspominać...

I jakież rezultaty z tego stanu rzeczy? oto — interesowanie się, bzikowanie Warszawy na temat hr. Zamoyskiej. Jedziemy na dół z zadziwiająco szybkością!

O ileż to wyżej stoi od nas Galicya. Ileż więcej posiada ludzi, ileż więcej liczy środowisk, chlubnie świadczących o jej myśli publicznej, o jej tętnie życia nie brukowego.

Galicya od szeregu lat wydaje też mężów stanu, uczonych, polityków, literatów, dziennikarzy, a my — cieszymy się z wzrostu „kultury” Warszawy, mierząc jej rozwój na ilość powstających w mieście „bioskopów” chyba, lub lamp elektrycznych na Nowym-Świecie.

Galicya w swoim czasie pod gorszym bodaj od nas znajdowała się jarzmem, a ta Galicya wydała swoich Gołuchowskich, Ziemiałkowskich, Smolków, Badenich, Zimorowiczów,

Hausnerów, Dunajewskich, a choćby tylko Romanowiczów, Głabińskich... Ci ludzie podźwignęli kraj, pozwolili mu być tem, czem jest i czem jeszcze być może, i czem napewno zostanie...

Jakże nędznie, jak mizernie przedstawiają ci się nasi obecni wybawiciele ojczyzny, jak figurkowo wyglądają nasi posłowie w Petersburgu, w porównaniu z wymienionymi potęgami Galicyi. Ale tamtych ludzi stwarzała i wynosiła praca, utrwałało w zapale otoczenie, na którym oprzeć się było można, z którym było można dyskutować!

U nas? — poziom myślowy, eh, lepiej o tem nie mówić! Do niedawna narzekało się na „warunki,” na represje polityczne, towarzystw zakładać nie było wolno, a te wszak były zawsze dźwignią w Galicyi. Dziś okoliczności mamy już, jednak znacznie zmienione, pomimo tego społeczeństwo nie chce, czy nie umie ich wyzyskać.

Przed z górą stu laty w Warszawie, jako koncesję wielką ze strony rządu pruskiego, zdołano uzyskać pozwolenie na założenie To-

brzymią moc potęgi z ducha, na przeżycie najcięższych ciosów życia, na wyjście z chwałą na pole sławy przodujących ludzkości narodów. Tę wielką, tę niezapomnianą, a tę dla wielu dziś jeszcze całkowicie obcą *księgę świętą* otworzyć przed młodzieżą naszą, zadatkiem lepszego życia, jest zadaniem powołanych przewodników szkoły polskiej, tej naszej szkoły przyszłości z „prób grobu“ do życia wskrzeszonej!

W życie, w dzieła, w czyny i myśli tych „wielkich świętych“ narodowego ołtarza wglębiwszy się duchem czci należnej, młodzież polska zdobędzie nadto ochronę najskuteczniejszą dla siebie i przyszłości swojego narodu, przed wpływami wrogich sobie z ducha kultur, ze świata obcych bogów.

Obok zdrowego pokarmu dla ducha, to przebywanie w sferze ideałów *najdoskonalej i najogólniej ludzkich*, w wysokim stylu kierowania „bryły świata na nowe tory“, młodzieńca polski znajdzie tu zadatki odrodzenia z najdzielniejszych dźwigni: nadziei i wiary. Hart ducha i *wolę* sięgania „tam, gdzie wzrok nie sięga.“ A to są drogi wyzwolenia wszelkiej duszy ludzkiej w postęp idącej.

Szkoła nowego typu hołduje nadto zasadzie: „Zdrowa dusza w zdrowym ciele,“ dążąc do rozwoju harmonijnego władz duszy i ciała. Ćwiczenia fizyczne, gimnastyka są tem pożądańszem wskazaniem pedagogicznym, im bardziej równowaga ta zachwiana została. W szkolnictwie, reformującym się na gruncie przebytych perturbacji natury psychicznej, kultura ćwiczeń cielesnych powinna zająć bardzo ważne miejsce, jako czynnik odradzający, zbawienny.

Obok tego, a to już w widokach rozwoju pełni władz przyrodzonych, miejsce bardzo wybitne w wychowaniu zająć musi *kultura estetyczna*. Muzyka, śpiew i w ogóle sztuki piękne, są to czynniki wysoko kształcące. Jednostka wychowana w kulcie dla piękna, cofnie się zawsze w porę przed brudem, przed szpetotą, pierś jej bowiem nawykła do

czystego oddechu, oko do wybiegania w górę, w sfery ideału.

Bez szerokiej kultury estetycznej w wychowaniu, nie jest też do osiągnięcia kultura moralna. Piękno z Dobrem ząębają się tak, że stanowią całość nierozdzieloną. Jedynym i wyłącznym celem wychowania ma być w dostojnym swem ludzkim ukształtowany Człowiek, *Człowiek normalny*, t. j. prawidłowo rozwinięty w pełni swych darów przyrodzonych, kulturalnie „ludzki“ mądry i dobry światły sprzymierzeniec Boga w wielkiem dziele Tworzenia.

Czuwajmy, aby szkoła nasza wydawała takich ludzi. Ludzi, którzy w przyszłe ustawy życia wcielić będą święte zasady *prawa moralnego*, na których, jak na opoce, dźwignie się wysoko w górę strzelista świątynia praw i obowiązków człowieka i ludzkości.

Ze skarbów „świętej literatury“ ojczystej młodzież polska dla karmi ducha, *zgodnej ze wskazaniami „ksiąg świętych“ całej ludzkości*, poczerpnąć może moc zaczynów twórczych dla wielkiego dzieła Odrodzenia w duchu rewolucyjnej *zbawczej, a bezkrwawej*, jaką wcieliły w życie pomnikowe ustawy reformatorskich dążeń narodu. Jedną z tych ustaw jeszcze w wieku XV-ym swe zasady Unii z bratnim narodem kształtuje na ewangelicznych wzorach Miłości, w pomnikowych słowach: *Nie dozna zbawienia, kto się na Miłości nie oprze*. Miłość winna tworzyć prawa, zakładać miasta, rządzić królestwami, *a kto nią gardzi, ten wszystko utraci*“ (z akt Unii Horodelskiej 1413 r.). A wielki „Sojusz z niebem“ w ślubach Jana Kazimierza mamy już w wieku XVII-ym w takim wyrazie natchnień:

„A ponieważ z wielkim bólem serca mego widzę, że za łzy i uciśnienia ludzi wiejskiego stanu w Królestwie mojem, Syn Twój, sprawiedliwy Sędzia świata, od siedmiu już lat dopuszcza na królestwo moje kary powietrza, wojen i innych nieszczęść, przeto obiecuję i przyrzekam, że ze wszystkimi memi stanami po przywróceniu pokoju, użyję troskliwie wszelkich środków dla odwrócenia tych nie-

szczęść i postaram się, aby lud Królestwa mego od uciśnienia i niesprawiedliwych ciężarów był oswobodzony.“

Oto wielka duchowa spuścizna narodu, którego działyw bohatera w obliczu cywilizacji XX-go stulecia tworzy *krucyatę dziecięcą* w obronie prawa do własnego pacierza, walcząc z przemocą dzikiej nawały barbarzyństwa tą *bronią ducha*, jaką ma w spadku po swych wielkich przodkach. A kultura przemocy tak znieprawiała narody cywilizacji, że wiek XX-ty nawet się nie rumieni, iż w świetle dnia białego Neronizm współczesny pełni z całą swobodą swe rządy bezprawia. Sumienie poszło w służbę polityki; niema narodu, któryby miecz wy dobył z pochwy za wszechludzką wolność.

Ale naród taki, powołany do uczynienia dzieła sprawiedliwości, dziś już nagłąco wzywany jest do czynu, by kres położyć hańbie niewolnictwa *zdziczałych ludów cywilizacji*.

Zadanie to dzisiejsze wypełni, zgodnie z duchem swych najświętszych natchnień, gdy na tablicach swego odrodzenia wypisze wysokiej miary prawidła moralne, wcielając w czyn: „kształcenie w sobie poczucia sprawiedliwości, przez zakładanie godności i dumy człowieczej i narodowej, nie na potęgę stanowiska, władzy i siły fizycznej, ale na enocie, na rozumie *na czynach sprzyjających szczęściu ludzi*. A to wszystko: *Celem przygotowania lepszej przyszłości światu przez rozsiewanie we wszystkich dziedzinach życia pojęcia i pragnienia zgody między ludźmi*. Przez stawianie oporu *wszystkiemu, co jest fizykiem, albo moralnem morderstwem*, wszystkiemu, co jest wynoszeniem siebie, a poniewieraniem innymi, szerokiemi rozsiadaniem się przy stole biesiadnym a spychaniem innych na niziny.“ (E. Orzeszkowa).

Zadanie to dziejowe dla dobra ludzkości całej wypełni w tym duchu naród odrodzonych, który do uczestnictwa w dziele swych uchwał społecznych powoła i kobietę, której geniusz niewieści dorosnie do wyżyn sformu-

warzystwa Przyjaciół Nauk i instytucja ta ku pożytkowi narodowemu pracowała aż do powstania 1831-go roku. Dziś bez trudu żadnego Towarzystwo takie założyłby się dało, ale nikt go do życia nie powołuje.

Mówi się o potrzebie naukowego badania kraju, ale nikt nie wyzyska istniejącej koncepcji na założenie Towarzystwa badania potrzeb krajowych.

Dałoby się w stolicy utworzyć Związek naukowo-literacki, ale nikt jego powołaniem do życia się nie zajmie.

Dopóki njema w Warszawie środowiska, do póki brak miejsca, gdzieby dało się myśli wymienić, kierunek pracy umysłowej nad samym sobą wskazać — próżno mówić o ewolucji, próżno narzekać na zanik, na wpadanie w banalność tętna myśli zbiorowej.

A przyjrzyjmy się tymczasem tylko, co robi we Lwowie tamtejszy Związek naukowo-literacki. Jest to instytucja, do której należy może każdy człowiek inteligentny, interesujący się rozwojem wiedzy i piśmiennictwa.

Co tydzień odbywa się jakiś odczyt, wygłaszany zazwyczaj przez ludzi o znanych nazwiskach. Omawiane są tam tematy ekonomiczne, filozoficzne, zdrowotne, wychowawcze, literackie, estetyczne... Nie pomijane są żadne dziedziny. Każde zebranie tygodniowe to sensacja w całym inteligentnym Lwowie. Dzienniki przepelniają się sprawozdaniami, notującami najdokładniej przebieg dyskusji poodczytowej.

Na zebraniach Związku spotkać można i lekarza z żoną, i adwokata, sędziownika, studenta, profesora, literata, dziennikarza, nauczyciela, słowem wszystkie zawody.

To stwarza środowisko. Tu ludzie zapoznają się z nowymi zdobyczami myśli ludzkiej; tu funkcje mózgowe zaczynają szybciej działać... Związek lwowski ma też już swoją kartę.

Kiedy za pobytu swego w stolicy galicyjskiej, bywałem stałym gościem na zebraniach Związku lwowskiego, zawsze wdychałem melancholijnie: że też czegoś podobnego nie da się stworzyć w Warszawie!

Dziś Związek taki można byłoby założyć w stolicy naszej, ale cóż, niema u nas komu się tem zająć... D-r Polak krzątał się w swoim czasie około stworzenia Towarzystwa humorystów w Warszawie, a i tej myśli w czyn wcielić nie zdołał, więc cóż tu dopiero mówić o instytucji poważnej!

Należę do kategorii ludzi, których nazywają u nas optymistami, a jednak, niestety, muszę powiedzieć: źle jest.

Nadrasta jednak nowe pokolenie, które wychodzi z lepszej od rosyjskiej, ze szkoły polskiej, może ono wyda nam nowe siły, może ono wzmocnić potrafi tlejące tętno pustego i nikłego życia Warszawy.

Wszak nam trzeba tężyzny, trzeba głębi myśli, a my tymczasem wciąż stajemy na mieliznach. Smutno!

Stefan Gorski.

lowanego powyżej przez genialną Polkę składu zasad wszechludzkiego obywatelstwa.

Oto wysoko obowiązujące wskazania wychowawcze dla szkoły polskiej, dla tej szkoły przyszłości naszego narodu.

Tu leży przytem rozwiązanie gordyjskiego węzła—*reformy życia na modłę Idealu*. Gdy zaś człowiek wielkie dzieło reformy rozpocznie sam od siebie, wszystko przemawia za tem, że gmach budowanej przezeń „nowej” życia, oprze się na trwałych fundamentach dążeń ku wyżynom człowieczego bytu.

I tu się iszczą marzenia nasze o ludzkiej duszy *dostojnej*.

Marzenia górne. W państwie ludzi dostojnych bowiem, na straży z prawem zgodnego biegu rzeczy, rygorem posłuchu obowiązującego, nie władze policyjne stać będą, ale przede wszystkim—sumienie obywatelskie.

Wrażliwe, czujne sumienie „Człowieka dostojnego.”

Zakopane, Maj 1907.

K O N I E C.



Oskar Wilde.

(Autor „Salome”).

SYLWETKA.



Bywają autorowie, patrzący na świat zwierciadlanymi oczyma i, jak w zwierciadle, w ich utworach, odbijają się wszystkie tego świata kształty i barwy; inni znowu patrzą na życie, jak na zwierciadło. Ci w całym obrazie świata, jak w lustrzanej tafli, widzą tylko siebie, podobni do zalotnych kobiet, wpatrujących się w okna wystawowe, nie dlatego, aby widzieć nagromadzone w nich przedmioty, lecz, by się własnej podobiznie przyjrzeć. Ten rodzaj twórczości nie gorszy od innej, jeśli wewnętrzne *ja* autora więcej warte od kramiku, wystawionego w oknie.

Takim zalotnym, subiektywnym twórcą jest Oskar Wilde, którego „Salome” posłużyła Straussowi za kanwę do opery, święcącej tryumfy w Berlinie, Dreźnie, Wrocławiu, Lipsku, w Ameryce, w Paryżu, a ostatnio w Warszawie.

Wilde jest typowym przedstawicielem nowej generacji autorów, których na świecie nie obchodzi nic zgoła, oprócz ich własnego *ja*: tworzą oni książki tak, jak modnisie toalety: po to tylko, aby mieć nowe ramy dla swej urody. Dla niego powieść, komedia, jest pozorem do wykazania, iż sam jest arcydziełem. I, naturalnie, zmienia suknię często, jak kobieta rozkochana w swej piękności. Dla wprowadzenia większej różnorodności do literackiej garderoby zamienia czasem ubiór współczesny na historyczny kostyum.

W „Salome” drapuje się w płaszcz z kosztownej, dziejowej brokateli; w sztukach salonowych nosi frak z wytwornością gentlemana, w „Dorian Gray” widzimy jego duszę nagą, w „De profundis” chodzi w kitlu skazańca. W tem dziele nawiązał na swoją lirę

ostatnią brakującą strunę, strunę cierpienia, drgającą pod technieniem współczucia. Wszystkie kostiumy już wyczerpane—od szaty monarszej do więziennnej, w porównaniu z którą łachman żebraka jest płaszczem królewskim, cała skala twórczości wydobyta—od tonów okrucieństwa do litości, od Salome do Chrystusa.

Co Wilde mógł być jeszcze dać światu po swoim „De profundis”? W sam czas umarł. Każdy prawdziwy artysta umiera w porę. Tylko roztkliwiający się autorowie nekrologów twierdzą inaczej. Gdyby Rafael zamiast trzydziestu, żył był lat sześćdziesiąt, popadłby w ekliwą manierę; gdyby Szyller dożył wieku Goethego, sparodyowałyby, ma się rozumieć bezwiednie, swoje własne jambiczne utwory; a gdyby Mozart stał się rówieśnikiem Verdi’ego, powiedziano o nim, z pewnością, że się powtarza.

Tak samo Oskar Wilde, jako twórca, odszedł ze świata w chwili właściwej, jako człowiek—o parę lat zapóźno. Powinien był umrzeć przed wytoczonym sobie procesem o niemoralność i przed wyrokiem, skazującym go na ciężkie roboty.

Niezwykły dar zmieniania kostyumów przy czynił się niewątpliwie do sławy Oskara Wilde’a. Zaciekawia nas różnorodność jego talentu. Ów ironiczny artysta i fantastyczny moralista pisał sztuki salonowe, jak „Kobieta bez znaczenia” (salonowe, gdyż najlepszą stroną tego utworu jest dyalog, nie zaś wpleciona weń nić dramatyczna), a zdjawszy frak, czarował znowu tężowemi barwami legendowego stroju baśni w „Szczęśliwym księciu,” w „Urodzinach infantki,” w „Rybaku.” To najpiękniejsze perły, jakie autor wyłowil z dna swej duszy. Zaledwie jednak rozwiła się ta powiewna melodia, aliści po świecie całym rozbrzmiał męczeński okrzyk: „De profundis.” W tem dziele po raz pierwszy piewca swego własnego *ja* przemówił w liczbie mnogiej, odkrył wielkie słowo: *my*, zrzucił maskę zepsutego lorda; obojętny Grek, esteta, stanął pod krzyżem. Zdawało się, że ten akord jest końcowym. Lecz oto nowe przeobrażenie kameleona, dzieło krytyczne wielostronnego autora, streszczające jego poglądy o sztuce w sposób tak żywy i barwowy, że zapomina się, iż „szara jest wszelka teoria.” To dzieło, nazwane „Intentions,” jest syntezą całej działalności pisarskiej Wilde’a, jest najlepszym bodaj ze wszystkich. Tu aktor gra samego siebie: odtwarza własną postać; przybrana maska jest własnym jego obliczem, a jak interesującym,—odgadnąć łatwo! Nie próbuje wynajdować imion, ani budować drzew genealogicznych dla swoich dwunożnych aforyzmów-automatów, których w każdej jego komedii bywa przynajmniej po jednym, a które—łatwo to poznać—są lalkami, pociąganiem za sznurek przez artystę i rozprawiającymi po literacku o sztuce, podczas, gdy akcja jest w zupełnym zaniebdaniu i zapomnieniu. W ostatniem dziele autor daje sobie zupełną folgę, nie krępuje się formą dramatyczną lub powieściową, jest sobą, jest paradoksyką *par excellence*, usiłuje wykazać prawdę, tkwiącą w każdym kłamstwie, i kłamstwo, wyłaniające się z każdej prawdy, szereguje do boju ciężte aforyzmy i dowodzi niemi, jak wódz sprawny. Kto

chce zrozumieć w pełni to, co stworzył Oskar Wilde, dramaturg i nowelista, niech odczyta raz, drugi, a nawet trzeci jego „Intentions.” Po za zrozumieniem duszy artysty-literata, znajdzie jeszcze prawdziwą dla siebie ucztę.

E. Żm.



Z pielgrzymki do Wilna.



W przeddzień wyprawy do Wilna—byłam w Częstochowie.

Słońce zaszło czerwono. Rozległy horyzont już tylko ciemnym pasem znaczył się na niebie z jednej strony, z drugiej—księżycem oświetlone opary kładły się nad miastem, migocząc setkami światel—kiedym wchodziła na Jasną Górę.

Weszłam na wały. Na krwawym niebie zachodu, z jakąś tragiczną grozą zarysowały się olbrzymie, pochylone krzyże—jeden drugi, trzeci, czwarty... i rozpaczne sylwety figur wiecznotrwałego bólu i cierpienia. To pierwsze stacye Męki Pańskiej—Piusa Welońskiego.

Całość imponująca, pomyślana doskonale.

Klasztor i kościół otacza wał i mur, po za nim, w dole fosa. Dalej teren pagórkowaty, za nim znów mur.

Otóż do wysokości wału, mając podwaliny w fosie, wznoszą się wielkie kamienne podmurowania, na nich stoją grupy z bronzu, poważne, wspaniałe, tak, że widz, stojący na wale—ma je na wysokości linii oka.

Podmurowania te, dla każdej grupy z osobna, ośmieliłabym się powiedzieć—nie łączą się dziś dosyć z terenem. Ale sądzę, że wykończona całość, da niezbędną harmonię dziełu. Czuwa nad tym wytrawny artysta. Z tymi głazami, mającymi z pokolenia w pokolenie, wrzuszać, kruszyć, chłonać serca ludzkie, imię swe skuwa na wieki. Dzieło musi być wielkie, do tego dąży.

Przebudowa klasztoru zarysowana jest szeroko a pięknie. Zasługa to czcigodnego przeora Raymana. Jeśli dojdzie w pracy do kresu, czego mu życzyć należy, stworzy istotnie jakby jakąś potężną twierdzę katolicyzmu.

Czy jej piękności, jej moc, krzyże wielkiej Męki Chrystusowej, czy wspomnienie miłości ojczyzny i wytrwanie w jej obronie, jakimi mury te spowite, czy pojęcia te przynoszą pątnicy tu idący—a jeśli nie, czy one tu się rodzą?

Czy osobiste bóle ich milkną, w uniesieniu ducha, wobec klęsk kraju, mąk ludzkości? Czy zapatrzeni w oblicze Matki Boskiej z wiarą, choć na chwilę są zdolni oderwać się od ciasnych ram swego życia i wzlecieć duchem na te wyżyny, w których już koją się lub giną ziemskie cierpienia? Czy myśl o Wielkiej Męce z miłości—rodi w nich lub utrwała wielką miłość? Czy gasi płomień złych nałogów, czy każe przebaczać, ratować, czy uczy miłosierdzia?

Staranie o to, aby tak było, należy się

tym, którzy świadomi być muszą, że tylko iście wielkim posłom przeznaczyć można taką wielką warownię. Tym, których białe sylwety przez zakratowane szyby refektarzy widziałam jaśniejące od czasu do czasu w mroku, tym, których istnienie tam, na tej Jasnej Górze, błędzemu po pełnych poezji zakątkach, nasuwają myśli o Ich szczytnym powołaniu, o wielkiej misji zwłaszcza dziś, w tej chwili — kiedy dookoła mroki, kiedy brak świetlnych promieni, kiedy ogrom nienawiści i zbrodni, nagromadzonych w naszym kraju, imponuje — światu całemu.

Skupiona na klęczkach gromadka pobożnych przed zamkniętymi już wrotami świątyni, odsyłała głośno „wszystkie dzienne sprawy“ do zlitowania bożego, po drodze ciche pacierze pańników — łączyły się z westchnieniami — kiedy schodziła do miasta. Jakieś dziwne wzruszenie targęło sercem — a za mną ciągle szły krzyże — straszne, bolesne a wielkie.

Zmieniła się panorama.

Ranek świeży. Niebo jasne. Z krzyży ocieka rosa, jakby lzy kropliste, nagromadzone w medytacji nocy.

Wyraźniej w ręku pachółka sznur wznosi się w powietrzu, mając, zda się, spaść za chwilę, na tracącego siły, pod ciężarem krzyża; wyraźniej — rozpacznie łamią ręce niewiasty, wyraźniej przemoc wrzeszczy... Ale światło dnia krzepi ducha. Nie z Jasnej Góry — tym razem wyszła inicjatywa pielgrzymki do Ostrej Bramy.

Z miłością i zapalem prowadził ją młody proboszcz z parafii św. Zygmunta, ks. Kowalski.

Po krótkiej z nim rozmowie — wiedziałam, że pielgrzymka poczęła się — w Sercu — i dlatego się powiodła. Pelen poezji, wiary, pogodny ks. Kowalski doskonale zdaje sobie sprawę z doniosłości takiej wyprawy i dla tego szczęśliw, że się udała. Pragnąć należy, aby nie ustawał w szlachetnych swych czuciach. A za wszystkie przykre chwile, jakich nie szczędził mu siły ziemskie, niech mu będzie nagrodą, że przez dni kilka wielkimi wzruszeniami, podniosłą strawą — za Jego przyczyną — karmiły się — setki ludzi.

Więc nie z Jasnej Góry wyszła inicjatywa — ale z Jasnej góry pobłogosławiona — szła pielgrzymka.

W długim, barwnym szeregu, ze sztandarami cechowymi na przedzie, z duchowieństwem licznie biorącym udział — z pieśnią na ustach — z muzyką radośną — postępowały zastępy wiernych; pociąg ruszył. Z sześciuset piersi — biegła pieśń pobożna. Nieba mieli pełne dusze.

W Wilnie — czekało nas na wstępie niegościnne powitanie władz. Oto rozkaz — aby muzyka nie grała.

Tysiączne tłumy zaległy ulice. Ze wszystkich domów po drodze sypano nam kwiaty pod nogi. Szły znów sztandary, szli księża — szedł sztandar przeznaczony w darze dla Ostrej Bramy z napisem: „Co przeszłość

złączyła — my utrwalimy“, szedł lud z pieśnią, szli muzykanci, w ciszy.

Gdyby zagrali, mogliby zapomnieć kiedyś — że grali w Wilnie. Tego, że nie grali — niezapomni nikt, nigdy.

Więc nic złego się nie stało.

A żadnej władzy — nie zatrzeć wrażeń ni pamięci — pierwszego westchnienia, pierwszego jęku, którym lud witał, który lud ślał przed ołtarz — Ostrobramskiej.

Mrok zapadł. Litanii się skończyła. Na krążanku w jasnościach srebrzystego ołtarza stanął ks. Szymkiewicz z Królestwa, litwin z pochodzenia — polak sercem — i w niem, jednym uczuciem ogarnia Litwę i Koronę.

Zaczyna mówić. Głos mu rośnie, słowo się mnoży, nabiera siły, potęgi. Jest jak natchniony. Lud niesie Wam sztandar — to sztandar od braci — dla braci. Różnice między nami nie istnieją — bo niedola nas równa. Jedne klęski nas łączą, jedne bóle targają — jedne ciężary gniołają. Wiara natomiast nas spaja, a miłość może nas ratować. Więc nie w nienawiści, woła z mocą, w wierze i miłości musi być opoka przed wszelkimi ciosami — przed ogromem nieszczęść — jakie na kraj spadają. Módl się więc ludu, przed tą Matką Ostrobramską, kochaj swych braci, wierz i błagaj o odwrócenie klęsk od kraju.

A kiedy runął na kolana przed Boga Ołtarzem, towarzyszyło mu szlochanie, poruszonego do głębi tłumy i płacz otaczającego go w kaplicy duchowieństwa.

Z pójściem na Kalwaryę nie mogłam czekać na pielgrzymów. — Wcześniej musiałam wracać do domu. Poszłam więc sama. Okolica urocza. Kaplice porozrzucane w lesie na górzystym terenie. Wszędzie ludu moc. A kogo spytasz, z kim mówić zaczniesz — każdy jakąś nędzę niesie, nieszczęście dźwiga... ufa w przemienienie, wierzy w pomoc. Lud serdeczny i życzliwy. Jedni drugim mnie oddawali. szłam otoczona jego opieką. A na wieść, że z Warszawy, kobiety mnie ścisnęły — mężczyźni całowali ręce. „Pani ty miła, ot, jaka dobreńka, z u Warszawy przyjechali taki do nas, daleko wiadomo daleko.“ I pytali... ciekawie pytali o wszystko.

Z Kalwaryi do pięknych Werek parę wiorst. Więc poszłam. Park rozległy, lasy do koła. Ale pustka.

Pod dachem pałacowego podjazdu wisi jakiś stary, śniedzią pokryty — na drewnianym wiązadle — dzwon, znać rozpadłej cerkiewki szczyłek. Patrzą... bez serca. Jak ta cała siedziba. Nikt jej nie kocha. Martwa też i zaniedbana.

Z parku, z którego śliczny widok na rzekę i lesistą okolicę, zesłam na dół. A wracając łodzią po cichej Wilii, przez które widzisz ciągle — złote dno. Że mącą je żywioły i siejące nienawiści zarzewie — nie wiedzą do tak pięknych ostoi, jak brzegi otaczające łożysko rzeki. Że nie mają one nic wspólnego z poezją i czarem tego cudnego kraju, nie z ciszy jego ementarnych, kurhanów, z ożywczego tchnienia wiatru marszczącego fale, nie z czystości jego wód.

Powrót był tryumfalny. Na wszystkich stacyach tłumy. Wszędzie kwiaty, entuzjazm.

W Białymstoku — bagnety oddzieliły pociąg pielgrzymów od tłumy. Kwiaty i okrzyki szły ponad bagnety.

Byłyby one o wiele więcej na miejscu w Łodzi, w owym strasznym dniu, gdzie zewziewczona bestya, o sześciuset zwyrodniałych częściach swej organizacyi — pastwiła się godziny — wieki nad bezbronnym.

Ale tam bagnetów nie było.

Józefowa Kotarbińska.



DARWID.

ZAPÓŹNO.



(Ciąg dalszy).

II.

- Czy wiesz co jest szczęście? czyś był szczęśliwy?

Irena zadając Janowi to pytanie, nie wiedziała, jak bolesnej dotknęła rany. Jan od dawna nie czuł się szczęśliwym, lecz głuszył w sobie tę świadomość i wszystkie pragnienia szczęścia. Głuszył pracą i obowiązkiem. Dawniej nęciła go sława naukowa, uznanie — zdobył to wszystko, a mimo to czuł próżnię w duszy, próżnię dookoła. Cieszył się tylko bez egoizmu, gdy spotkał rodzinę szczęśliwą, bo uważał ją za dowód oczywisty, że szczęście możliwe jest na ziemi. W ogóle jednak spotykał je rzadko — gdzieś wysoko na 3-em piętrze, w oficynie, w rok lub dwa po ślubie. Jasny pokój, kołyska, skromne mebelki, mała pensyjka. Po kilku latach lokatorzy przenosili się niżej, do lepszego mieszkania, meble kupowali świeże, piękniejsze, ale twarze więdły, traciły uśmiech szczery, pokrywały się zmarszczkami zawodów i niezadowolonych. Mieszkanie było ładniejsze, obszerniejsze, ale szczęście zostało tam, na trzecim piętrze w oficynie, dla nowych lokatorów, którzy z czasem te same przechodzili koleje.

Jan sam przebył tę drogę i patrzył, jak ją inni przebywali. Znał prawa życia i ulegał im bez walki. A szczęście mieszkało tam wysoko w oficynach, przyjmując co rok nowych lokatorów, lecz nie idąc za nimi, gdy się wyprowadzali.

Tam jednak, gdzie królowała Irena w koronie macierzyństwa, szczęście mieszkało przez lat tyle i mieszkać będzie zawsze.

— Niechże ich Bóg błogosławi, — myślał. Niech zawsze będą szczęśliwi, a ja, gdy mi będzie smutno i ciężko, pójdę wypić z nimi filiżankę herbaty...

I szedł dalej drogą pracy i obowiązku. Przybywało mu siwych włosów i życzliwości ludzkiej, ale szczęście znalazł tylko z opowiadań lub upatrywał je tam, gdzie zdawało się gościć.

Irena po powrocie z letniego mieszkania rzuciła się jak zwykle w wir zabaw jesiennych, koncertów i teatrów, roztaczając do-

koła siebie czar piękności, jak świeżo rozkwitła róża. I przez myśl jej nie przeszło, iż rzucone przez nią ziarno powoli kiełkować poczęło. „Czy wiesz, co jest szczęście” — zadawał sobie nieraz to pytanie, powtarzając słowa Ireny.

Czas mijał. W kilka miesięcy, z powodu jakiejś uroczystości rodzinnej, Jan odwiedził Irenę. Przyjęty ze zwykłą serdecznością, wracał do domu rozmarzony i pewniejszy niż kiedykolwiek, że widział szczęście.

Jan mało bywał w towarzystwach i nie wiedział, że Irena na wszystkich zebraniach, gdziekolwiek się ukazała, budziła szmer uwielbienia. Nie jeden ze śmielszych szeptał jej na ucho słowa zachwyty, które przyjmował w milczeniu jako należny hołd, nie pozwalając na słowa zbyt gorące.

Była próżna, jak każda piękna kobieta, lecz dusza jej pozostała czystą wobec pochwał pełnych znaczenia. Od pewnego czasu jednak i w tej czystej duszy kobiecej zaczęły kiełkować ziarna buntu. Życie, jakie prowadziła, to życie obowiązku nie zadawało jej i, zadając Janowi w ów wieczór letni pytanie, czy wie, co jest szczęście i miłość, zaczerpnęła je z głębi duszy własnej i kierowała nie tylko do niego, lecz i do siebie samej.

Jan o tem jednak nie wiedział. Uważał ją za szczęśliwą i zadowoloną, a zadane mu pytania poczytywał za przestrożę.

Szczęście i miłość oddawna były mu nieznane. I nigdy ich już nie spotka na swej drodze.

— Ha! trudno! — myślał, — mogłem być jeszcze nieszczęśliwszy!

— Szczęście? miłość? Czyżby to było jedno i to samo? Wszakże i on szukał szczęścia w miłości i nie znalazł go. Ożenił się. Nie czuł się szczęśliwym w małżeństwie. Nie umiałby nawet powiedzieć dlaczego nim nie był. Może z powodu zbyt wysokich wymagań estetycznych i tej potrzeby konieczności duchowej i zmysiowej, której brak w stosunku do kobiety czują wszyscy mężczyźni zbyt subtelni obdarzeni zmysłami. On, który wyobrażał sobie małżeństwo jako najczystsza formę miłości, nie znalazł w niem szczęścia, nie myślał o tem, że może ono istnieć po za niem. Miłość bez małżeństwa wydawała mu się czemś równie niedoskonałym, jak małżeństwo bez miłości. Lecz wobec wyższych zadań życia osobiste szczęście uważał za rzecz podrzędną.

Szedł prostą drogą pracy i obowiązku, nie zazdroszcząc nikomu i nie szukając ulgi, ani pociechy. Tajemnie duszy swej nikomu nie odkrywał, z pewnem więc zdumieniem usłyszał słowa Ireny, która tak śmiało, tak bezlitośnie zajrzała mu w głąb serca i poruszyła uspięte pragnienia. I zapytywał jaki cel miała ta kobieta siejąc spóźniony niepokój w jego serce?

Czyżby i w jej duszy tlały pragnienia niezaspokojone?

Nigdy nie wydała mu się tak piękną, jak owego wieczora, gdy ją zastał śpiewającą w swoim salonie. I odtąd zawsze dostrzegał w jej oczach te przebłyśki pragnień, i z tych oczu do jego duszy biegły jakieś prądy gorące, które paliły krew i serce i pobudzały uspięte w duszy pragnienia.

Wśród pracy zawodowej Jan nie miał czasu na oddawanie się marzeniom. Tysiące młodych kobiet, żon i matek przesuwały się przed jego oczyma, które przywykły patrzeć na świat przez mgłę zawodów, nie tyle szukały piękności ciała, ile przymiotów duszy. Wdzięczność ich krzepiła go w trudach obszernej praktyki. Gdy się jednak znalazł wieczorem w swym gabinecie wyczerpany fizycznie, myśl jego zwracała się życzliwie ku tym matkom, wychowującym przyszłe pokolenie i czuwającym wśród nocy przy łóżku dziecka.

Często teraz przebiegał myślą to wszystkie chwile, w których widział Irenę. Gdy mu pierwsze dziecko chore powierzyła w opiekę, miało ono kilka miesięcy, a młoda matka jego zaledwie lat ośmnaście.

Po kilku latach przybyło drugie, potem trzecie. Leczył je wszystkie i kierował ich zdrowiem, jako lekarz domowy. Zajęty dziećmi, widział w Irenie matkę pełną poświęceń. I tak było przez lat szereg. Dlaczegoż teraz ukazała mu się w pełni kobiecej piękności? Dlaczego teraz zaczął patrzeć na nią, jako na kobietę godną uwielbienia?

W jego życiu spokojnem zaszła zmiana niespodziewana, która go twogą przejmowała. Jakieś przeczucie szczęścia i bólu rozpiętało mu piersi i napełniało nieokreśloną tęsknotą, jak wtedy, gdy był młodzieńcem i kochał, i pragnął, i wyrwał się w zaczarowany świat ułudy! A życie codzienne kazało mu ciągnąć dalej taczkę obowiązku.

III.

Choroża Wacia przybrała szczęśliwy obrót. Irena pobladała wśród bezsennych nocy, wyglądała, jak istota nadziemna. Jan z radością patrzył na nią śledząc tętno chorego chłopczyzny.

— Wszystko dobrze idzie — mówił, — niech pani będzie spokojna, jeszcze tydzień, a pozwolę mu wstać.

Śliczny kilkunastoletni Wacio z wdzięcznością patrzył kolejno w oczy matki i doktora i mówił:

— Już mnie nic nie boli...

Po dniach pełnych trwogi, nastąpiły dni radości.

Jan siadywał z Ireną przy łóżku chorego, a gdy ten zasnął, przechodzili do sąsiedniego pokoju.

Rozmawiali przyciszonym głosem o chorym, o jego żywieniu, potem o kwiatach, muzyce, o sobie.

I tak powoli zagłębiali sobie do głębi duszy, w której spostrzegli oboje takie przepaśne głębiny, że ich oboje trwoga przejmować poczęła. Były to jednak rozmowy i zwierzenia braterskie i siostrzane, nie wolne wprowadzie od niedopowiedzianych zwrotów, od słów pełnych znaczenia, które budziły trwogę, przyspieszając bicie serca.

Po każdej rozmowie Irena miała twarz płonąca. Jan wracał do domu poważniejszy, niż zwykle.

— A więc i ona nie jest szczęśliwą! — myślał. — Wszędzie pozory tylko — maska na twarzy, a duszy ból!

Wacio wyzdrowiał, po tygodniu wstał z łóżka. Lekarz jego zaczął odtąd śledzić

chorobę, która się w jego duszy powoli rozwijała.

Irma wróciła do zwykłych zajęć i zabaw które w zbliżającym się sezonie zapowiadały się bardzo zajmująco.

Jan sumiennie zdawał sobie sprawę z położenia, w jakie go wprowadziła.

Przedewszystkiem przekonał się, że nia jest ona szczęśliwą, chociaż widział dokoła niej wszystkie pozory szczęścia.

To był tylko ptak w klatce zamknięty, strzeżony, ptak któremu związane skrzydła... wstęgą honorową obowiązku.

Jan odgadł duszę tej kobiety i zrozumiał ową pieśń namiętną, którą śpiewała wtedy... w jego saloniku.

Teraz rozumiał także, dlaczego ona tak umiała czytać w jego duszy, odgadywać jego myśli, przenikać tajniki jego życia i pragnień.

Błogosławił dzień, w którym skończywszy kurację Wacia, przestał widywać Irenę. A jednak już nazajutrz brak mu było jej widoku, jej rozmowy.

Postanowił unikać jej. Zaczął leczyć samego siebie. Czuł, że pomiędzy nim a Ireną zadzierzgnęły się jakieś więzy ściślejsze, niż dotychczasowa przyjaźń. Nie powiedzieli sobie nic, lecz to, co powiedzieli o sobie, było dostateczne do rozbudzenia tlejących w duszy pragnień.

Jan widział tylko jeden ratunek — unikać jej.

Od lat tyłu otaczał ją taką czcią, takim przywiązaniem braterskim, że się przeląkł, zajrzawszy w głąb duszy własnej i w głąb duszy Ireny. W swojej znalazł cudny kwiat pragnień i nadziei, w duszy jej skarby ukrytych przymiotów, bogactwo fantazyi i uczuć, marzeń i poezyi.

I myślał: „Czemuż ona nie jest moją żoną, matką moich dzieci, kapłanką mojego ogniska.“

Jasne pokoiki Ireny zdawały mu się teraz zasnutą jakąś mgłą smutku, która włóczyła się po kątach, zasłaniała promienie słoneczne i tę ukochaną twarzyczkę i całą postać śliczną. Często teraz zjawiała mu się Irena w postaci kobiety cierpiącej, która ukrytym w duszy smutkiem stokroć więcej go pociągała, niż jasnością oblicza.

— I ona niesie swój krzyż — myślał. — A jednak nikt o tem nie wie, nikt, oprócz mnie. Dla wszystkich okazuje się szczęśliwą, mnie jednemu uchylała zasłony, po za którą spełnia swój kielich. I moje życie odgadła, odczuła, wypowiedziała moje myśli i pragnienia wyraźniej, niżbym ja sam miał odwagę je wypowiedzieć.

Czemuż jednak zamąciła mój spokój, obudziła te pragnienia uspięte, przytłumiane przez lat tyle. Czemu. Czyżby? Ale to niemożliwe! Któż ja? kto ona? Ja schodzę z pola, ona rozkwita pełnią piękności. A przytem żona, matka. Jej myślą nawet splamić mi nie wolno.

IV.

Mgła listopadowa snuła się po ulicach miasta otaczając płomienie latarni tęczową obwódką. Przylegała do twarzy, do szat prze-

chodniów, zgęszczała się na chodnikach. Przechodnie snuli się leniwi, zniechęceni. Wieczór ponury napełniał duszę żalem i tęsknotą do wiosny, do słońca, do jasności. I jak w ów wieczór sierpniowy ciepły i wonny Jan wracał od chorych do domu, jeszcze smutniejszy. Ledwie zaszedł po schodach, tak mu ciążyły te smutki.

Otworzył zatrząsk niechętnie, mały piesek wybiegł na jego spotkanie i zaczął się łaścić. Pogłaskał psa, zdjął palto przesiąknięte wilgocią i wszedł do saloniku.

Na fotelu siedziała Irena. Błada jej twarz tem bledszą się zdawała przy ciemnej sukni. Pochwycił ją za rękę.

— Witam panią. Czy znowu kto chory?

— Bogu dzięki, wszyscy zdrowi. Nie przyszedł pan na moje wezwanie, więc ja przyszedłam.

Trzymają się za ręce i patrzą sobie w oczy.

Po chwili Irena zaczyna mówić. Słowa płyną z ust jej cichym, słodkim szeptem. Mówi mu, że jest niedobrym, niewdzięcznym przyjaciелеm, że zapomniał przyjść odwiedzić Wacicia, uspokoić jej trwogę o zdrowie dziecka. Jan słucha, patrzy w te dobre, słiczne oczy, w głowie mu szumi, nie wierzy oczom i uszom własnym, głos Ireny upaja go, a przez złączone dłonie płynie z jej ciała do jego kości i nerwów ciepły, ożywczy prąd. I wyciąga ramiona do słodkiego widziadła, a ona pochyla się na jego piersi. Usta nie szukają się, lecz świadomie dążą ku sobie w szeptach słów pełnych miłości i rozbudzonych pragnień. Po chwili milkną szept, Jan słyszy otwieranie i zamykanie drzwi... rozgląda się dokoła. Widzenie znikło. Jest znowu sam. Oparta o krzesło stoi czarna parasolka.

Widzenie przelotne, raczej do snu rozkosz nego podobne, wyprowadziło Jana z równowagi.

Dlaczego ta kobieta potargala mu spokój? Dlaczego sama siebie naraziła na nieuchronną walkę z uczuciem i z obowiązkiem. Jeżeli ulegną uczuciu, dokąd ich ono zaprowadzi? Jeżeli ulegną obowiązkowi, jakie ciężkie życie ich czeka. Wszakże ona jest tylko słabą kobietą, tem słabszą, że nie jest szczęśliwą. Jak wielka odpowiedzialność ciąży na nim za każde słowo, za czyn każdy. Myśli te rozsadały mu czaszkę. Na nic się nie przydało postanowienie unikania Ireny. Unikał. Przyszła i zwyciężyła. Dziś już łączy ich nie tajemna, której zerwać nie może, gdyż okazałby się śmiesznym w jej oczach, a czy możliwym będzie widywać ją „utrzymać się” w granicach czystej przyjaźni?

W długie wieczory jesienne, chodząc po gabinecie, biedzil skołatana głowę, a niekiedy bezsilny, wyciągał ramiona w kierunku mieszkania Ireny i szeptał: O moja! moja! moja!

Myśli pędziły szalone...

— Com ja ci zawinił, piękna pani, żeś mnie zbudziła z mojego letargu, żeś odczytała w mej duszy wszystkie utajone pragnienia i rozpałała krew moją i mózg mój, żeś oderwała mnie od cichej pracy i rzuciła na pastwę marzeń [nieziszczonych! Wczoraj jeszcze czoło twoje było czyste i nieskalane. Dziś usta moje gorące wypaliły na niem znamię grzechu. Dziś już nie widzę w tobie kapłanki rodzinnego ogniska, nieskalanej żony i ma-

tki. Gorące moje pragnienia, szalone myśli moje spaliły białą twą szatę i otoczyły cię płomieniem mojej miłości. Usta twoje wsączyły mi do duszy truciznę nieznaną pragnień. Ręce moje szukają rąk twoich, oczy moje przez osłonę szaty widzą powaby twego ciała, krew moja pragnie płynąć w twoich żyłach, myśl moja rządzić twym mózgiem; dusza moja panować nad twoją duszą!

Jedną godzinę z tobą spędzoną, opłaciłbym ostatkiem dni moich.

To było szaleństwo. Jan zdawał sobie jasno z tego sprawę. Irena była żoną zacnego, szanowanego przez wszystkich człowieka, a jednak...

Pan Zenon starszy znacznie od żony, po burzliwie spędzonej młodości zaślubił młodą, o rozbujalej wyobraźni dziewczynę. Byli szczęśliwi przez lat kilka, lecz nadeszła chwila, w której mąż uczuł się znudzony pracą i życiem, a żona coraz goręcej pragnęła hołdów, upojeń i zachwyty. Odtąd zaczęły się dla Ireny dni smutku i rozczarowań, tem przykrzejsze, że zamaskowane pozorami szczęścia, które się dawno ulotniło, jak woń z zaszuszonego kwiatu.

Szczęście? Gdzież się podziało to szczęście, które Jan widział w tych jasnych pokojach?

Los Jana był znośniejszy, gdyż pomimo rozczarowań, wypełnił sobie życie pracą naukową i częstymi podróżami za granicę. Ale w duszy czuł pustkę, tak samo jak Irena.

Nieubłagane fatum zbliżyło ich właśnie w chwilach najbardziej przykrych, a kilkakrotna rozmowa odsłoniła im tajemnice duszy, rozbudziła pragnienie szczęścia. Jan zrozumiał teraz rzucone mu przez Irenę pytanie: „Czy wiesz, co jest szczęście? czy wiesz, co jest miłość?”

Zrozumiał, że jej usta zadawszy mu to pytanie, dały mu przedsmak szczęścia i miłości. Jakże to było dawno, jakże powoli i smutno wlokła się szara nieć życia!

Brak wyższych a czysto osobistych podniet i tych chwil szczęścia, które siłą swą krzepią zbolalą duszę, wytworzył w obojgu uczucie niezadowolenia i pustki. Taką pustkę kobieta trzydziestoletnia stara się zwykle wypełnić miłością, a jest to rzeczą nader łatwą w wielkim mieście, gdzie rabusiów cudzej zwierzyny snują się tłumy po salonach.

Ludzie, którzy o baletnicę stają naprzeciwko siebie z pistoletem w ręku, bez zastanowienia narażają cześć kobiety, cześć rodziny dla zadowolenia słabostki, której miłością nazwać się nie godzi. Żądza nowych wrażeń rzuca niekiedy w objęcia takiego pana najcnotliwszą przedtem kobietę.

Różnych Casalów i Priolów spotykała Irena na swej drodze. Tych ostatnich nawet bardzo wielu. Oni to właśnie rozbudzili w niej wątpliwości co do jej osobistego szczęścia, i z chwilą, gdy zapytała samej siebie czy jest szczęśliwa, poczuła w życiu swem braki, na które dawniej nie zwracała uwagi. Jakiś „Casal” powiedział jej, że jest piękna, i to wystarczyło, a by tę piękność uwydatnić strojem bogatym i modnym.

Jakiś „Priola” powiedział, że mogłaby być córką swego męża. Zaczęła liczyć lata Zenona, i doszła do przekonania, że „już” jest dla niej za stary. Codziennie ukazywały

się nowe braki w jej życiu i otoczeniu i po paru latach doszła do przekonania, że się marnuje. Z dobrej żony i matki stała się przede wszystkim elegantką.

Wrodzony gust podniecał w niej potrzebę elegancji, a przy [pomocy stroju rozkwitła jeszcze więcej jej piękność, której platoniczne hołdy Casalów i Priolów zadowolić już nie mogły. Serce zaczęło się domagać o swoje prawa.

I to był powód przeplakanych nocy bezsennych, o dziesięć kroków od pokoju Zenona, który po całodziennej pracy smacznie zasypiał.

Dowiedział się o tem wszystkim Jan i zrodziło się w jego duszy współczucie [dla pięknej kobiety. Współczucie zamieniło się niedługo w uczucie tkliwsze. I to go trulo.

Nie było on z rodu Casalów, ani Priolów. Uważał on księgę swej młodości za zamkniętą. Gdyby Irena była wolną, byłby pod jej urokiem nowe rozpoczął życie. Bez wahania bez wyrzutów sumienia. Irena jednak była żoną i matką. I ten mąż zacny, i te dzieciaki wzrosłe w jego oczach, którzy przez lat tyle zwracali się do niego z ufnością i przyjaźnią, byli mu tak drodzy i bliżcy, że na ich wspomnienie dreszcz trwogi go przejmował.

— Oto rodzina zacna, szczęśliwa przynajmniej na pozór. Jej spokój, honor, szczęście w moim ręku. Jakież mam prawo plamić ich imię, choćby nikt o tem nie wiedział, oprócz mnie i jej? Cóż za to osiągnę? Co ona osiągnie? Chwilę szalu, która nie będzie szczęściem, bo ją zatrują wyrzuty sumienia. Miłość moja dla Ireny krzywdy nikomu nie czyni, ale chwila zapomnienia zgubiłaby nas wszystkich na zawsze.

Dla takiego człowieka, jak doktor Jan, droga, na którą go wprowadziła Irena nie zapowiadała kwiatów, Zanadto był uczciwym, aby się pokusić o zdobycie szczęścia, zanadto kochał Irenę, aby się jej wyrzec na zawsze. Ta kobieta przy każdym widzeniu czarowała go, upajała, doprowadzała do szalu. Uciekał od niej, aby przez długie tygodnie myśleć o niej i pragnąć, a gdy go tęsknota przygnębiła, biegł w godzinie wyznaczonej dla gości, aby ją tylko zobaczyć. Gdy zastał Irenę samą, tulił jej rękę, szeptał słów kilka gorącej tęsknoty i znów uciekał do swoich chorych, niosąc im zdrowie, sam chory śmiertelnie, niosąc im pocieszenie i ulgę, sam smutny i beznadziejny.

Takie stany duszy nie mogą trwać bez końca. Hamletowskie „Być albo nie być” — musiało się rozstrzygnąć.

I rozstrzygnęło się.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PRACA DZIECI w zakładach przemysłowych w Ameryce.



Praca dzieci w zakładach przemysłowych w Stanach Zjednoczonych wywołuje od lat

kilku, tak w prasie, jak w parlamencie żywe spory i uzasadnione narzekania.

Opinia publiczna zajmuje się tą kwestią, powstały liczne związki w celu zreformowania prawodawstwa tam, gdzie ono już istnieje, lub ustanowienia specjalnych praw, opiekujących się dziećmi w Stanach, w których dotąd nic jeszcze nie zrobiono.

Bardzo wyczerpujące i ściśle wiadomości w tej mierze znajdujemy w dwóch świeżych i obszernych wydawnictwach „Akademii amerykańskiej nauk“ w Filadelfii, w których są zamieszczone sprawozdania z kongresów odbytych w Styczniu i Lutym zeszłego roku w Filadelfii i Waszyngtonie, w celu unormowania pracy dziecinnej.

Ciekawą jest rzeczą, jakie są przyczyny tego ruchu i dlaczego w Ameryce można go nazwać aktualnym, podczas kiedy w głównych krajach europejskich ewolucja jego jest niemal skończoną, wobec słynnego „Edyktu“ angielskiego z r. 1802-go, który dał początek całemu szeregowi praw, opiekujących się dziećmi, praw, rozszerzonych z Anglii po całej Europie.

W Stanach Zjednoczonych aż do ostatnich czasów, sprawa ta nie miała zbyt wielkiego znaczenia, ponieważ praca dzieci była użytkowana tylko w nielicznych fabrykach Nowej Anglii, pod kontrolą regulaminów doskonale ułożonych, chociaż nie zawsze równie dobrze szanowanych. Tymczasem w ostatnich dwudziestu latach, w Stanach południowych rozwinęły się niesłychanie przędzalnie, huty szklane, fabryki przetworów owocowych, jarzyn, konserw mięsnych; praca dzieci znalazła ogromne zastosowanie, a wyzysk i nadużycia ukrócone w starym świecie, pojawiły się na nowo, niekiedy pod płaszczykiem hypokryzji, zochydzającej je jeszcze bardziej. W tym celu powstały specjalne komitety ochronne, które przedsięwzięły, czasem skuteczną, a czasem bezowocną walkę z tym właśnie przemysłem, któremu wszystkie południowo-zachodnie Stany, wyłącznie prawie dotąd rolnicze, zawdzięczały swój rozwój ekonomiczny.

Przędzenie i tkactwo bawełniane zrobiły olbrzymie postępy w ostatnich kilku latach w Stanach Zjednoczonych południowych, w r. 1880-ym liczono w tych Stanach tylko 667,000 wrzecion, w r. 1900-ym liczba ich przewyższała siedm milionów; w dwóch Stanach Karoliny w ostatnich sześciu latach liczba wrzecion podległa podwojeniu; to samo powiedzieć można o Stanach Alabama i Georgia, słynących z produkcji bawełny. Wobec niewystarczającej liczby rąk pracowników dorosłych, wprowadzono do zakładów przemysłowych więcej, niż połowę młodego pokolenia białych z klas najuboższych, z wielką krzywdą dla ich zdrowia i dla ich moralności; wprowadzono specjalne warsztaty dla dzieci, w przeciwieństwie do tego, co ma miejsce w Indyach angielskich, gdzie przy budowie i urządzaniu przędzalni, zwrócona jest surowa uwaga, aby służyły wyłącznie dla dorosłych.

Prawodawstwo dotyczące pracy dzieci w Stanach Zjednoczonych, daje nam ciekawy obraz rozumnych postanowień z jednej strony,—

z drugiej zaś zupełnego niewprowadzania ich w życie.

Ruch w kierunku ustanowienia prawodawstwa, opiekującego się pracą dziecięcą, rozbudzony jest szczególnie w Stanach południowych, ponieważ w Stanach północnych, np. w Illinois, New-York, Pensylwania, kwitnie przemysł, mniej szkodliwy dla zdrowia od przędzenia i tkania bawełny. W przędzalniach Karoliny Północnej jest 15,000 dzieci w wieku niżej lat 12 tu. Ogółem, w fabrykach Stanów południowych znajdujemy 60,000 dzieci niżej lat 13-tu i 14-tu, a główną przyną tego jest niemoralne, niestety, zbyt częste pozozumienie między fabrykantami a rodzicami, z których ostatni umyślnie ukrywają wiek dziecka, pierwsi zaś patrzą na to przez szpary.

Przędzalnie i zakłady tkackie wymagają specjalnej uwagi komitetu narodowego ze względu na poważne niebezpieczeństwo grożące zdrowiu dzieci; komitet ten jednak wnika również w inne gałęzie przemysłu, w których zatrudnione są dzieci, niżej lat oznaczonych przez prawo, ważne bardzo, a bardzo mało szanowane.

Jedną z przyczyn niemocy tego prawa jest niesłychanie skromne utrzymanie materyalne urzędników, t. zw. *inspektorów pracy*, źle płatnych i przeciążonych obowiązkami, w skutek niedostatecznej ich ilości. Należy zaznaczyć, że w Stanach północnych ci inspektorzy pracy, pomimo bardzo małego wynagrodzenia rozwijają niesłychanie gorliwą i prawdziwie skuteczną działalność.

Komitety lokalne „Narodowej komisji pracy dziecinnej“, pełne są gorliwości i wytrwania; istnieje nadto wielkie stowarzyszenie „Związek ogólny kobiet“, liczący 700,000 członków, mający za zadanie pieczę nad ubogimi dziećmi. Działalność Związku ma dwa cele na względzie: przedewszystkiem nie dopuszczać, aby dzieci niżej lat szesnastu pracowały między siódmą wieczorem a siódmą z rana; następnie pilnować, aby nie było wolno zaciągać do pracy chłopców, nie umiejących czytać i pisać po angielsku. To obostrzenie ma na względzie amerykańskizowanie i otaczanie opieką setek tysięcy dzieci emigrantów europejskich, szukających zarobku. Na kongresie roku 1905-go Związek uchwalił następujący wniosek, zasługujący na dosłowne przytoczenie:

„Mamy nadzieję doczekać się wkrótce dnia, w którym od jednego krańca kraju do drugiego, we wszystkich dziedzinach przemysłu, rodzice sami zarabiać będą na utrzymanie małych, niezdolnych do pracy dzieci,—w którym każde dziecko, niżej lat szesnastu, uchronione będzie od pracy nocnej; w którym, obecność dziecka z fabryce świadczyć będzie o znajomości jego języka angielskiego i o osiągnięciu rozwoju fizycznego, zabezpieczającego od wyczerpania pracą przemysłową.“

Kardynał Gibbons, arcybiskup Baltimory, zwracał się do kongresu z poparciem prawa, opiekującego się dziećmi. Z pomiędzy mówców, zabierających głos na kongresie, zasługuje na uwagę doktor Hirsch, profesor literatury i filozofii w uniwersytecie w Chicago, który dowodził, że ograniczenie pracy dziecinnej spoczywa w dobrze zrozumianym inte-

resie przemysłowców, mianowicie: w zakładach przemysłowych amerykańskich praca prowadzona jest tak intensywnie, że tylko osoby dorosłe powinny być pożądaną, gdyż różnica ich wynagrodzenia jest niesłychanie mała w porównaniu z wynagrodzeniem dzieci.

Co zaś do rodzin ubogich, potrzebujących współprawnictwa dzieci, to z punktu widzenia przyszłości tych dzieci, praca w fabrykach jest niesłychanie zgubna dla nich: wszystkie występki, cała nędza moralna, biorą źródło w przedwczesnym i nieuniknionym zdemoralizowaniu, jakiemu małe te istoty podlegają przy wspólnej pracy w fabrykach. Odsuwając od młodzieży to poważne niebezpieczeństwo, oddaje się przysługę wielką całemu społeczeństwu, nie tylko w dzisiejszym, lecz i przyszłym pokoleniu.

Ruch w tym kierunku rozszerza się coraz więcej; opinia publiczna, *elita* kraju, wypowiada się bardzo przychylnie na rzecz wspomnianej reformy; jest nadzieja, że wkrótce Ameryka nie będzie miała czego zazdrościć narodom europejskim pod względem opieki nad młodymi pracownikami — i nie należy przypuszczać, aby ta opieka była jeszcze długo problematyczną i powierzchowną w wielkiej Rzeczypospolitej, dumnej ze swoich zasług i ze swojego postępu.

Podług artykułu w „Annales des Sciences Pratiques“ spolszczyła

Wł. Zar.



Z literatury.



— Nasza literatura pedagogiczna z zakresu sztuk plastycznych jest tak ubogą, iż z wielkim zadowoleniem w tej dziedzinie przyjąć należy pojawienie się treściwego podręcznika, opracowanego z dużą znajomością rzeczy, przystępnie, a gruntownie. Taką jest, bez wątpienia, praca p. Józefa Malanowicza, która świeżo ukazała się w handlu księgarskim, pod nazwą: „Kreślenie geometryczne i jego praktyczne przystosowania“, wydana nakładem Kasy Mianowskiego.

Pan Malanowicz, inżynier, od lat kilku prowadzący rysunki techniczne w Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej zwrócił uwagę na zupełny brak w naszym języku podręczników do rysunku geometrycznego, co w wysokim stopniu utrudnia nauczanie tych tak potrzebnych dla młodzieży rzemieślniczej przedmiotów. Na podstawie więc swej działalności pedagogicznej oraz uprzednich długoletnich studyów za granicą, postanowił opracować cykl tego rodzaju podręczników, z których pierwszy mamy właśnie przed sobą. Składa on się z dwóch części: kreślenia i zdobienia geometrycznego; pierwsza część zajmuje się rysunkiem konstrukcyjnym i kompozycyjnym, w połączeniu z planimetrią i geometrią analityczną, druga zaś, mniej specjalna, dąży do kształcenia w uczniu poczucia estetycznego i rozwijania w nim zdolności kompozycyjnych w stosunku do jego potrzeb fachowych; zawiera ona też treściwą naukę stylów, a zwłaszcza stylowych ozdób geometrycznych. Podziwiać tu należy umiejętność autora podania w krótkich słowach tak wielkiej sumy wiadomości historycznych. P. Malanowicz w pracy swej kładzie specjalny nacisk na rozwijanie w uczniach samodzielnej twórczości zdobniczej, bez której rzemieślnik nigdy nie może wznieść się na wyższe poziomy, nadające piętno artyzmu pracy jego — cechę tak niezbędną dla rozwoju naszego przemysłu krajowego. Uważa on, iż nauczyciel przy nauce kreślenia geometrycznego powinien uwzględniać dwa kierunki: *pozytywny* dla uczniów, w zakresie ściśle zawodowym, t. j. przyszłych stolarzy, tokarzy, ślusarzy, techników maszynowych i t. d., *artystyczny* zaś przy kształceniu grawerów, malarzy, dekoratorów, tokarzy galanteryjnych

i t. d.; głównym jednak celem ma zawsze być rozwinięcie w uczeniu samodzielności i rozbudzenie jego zdolności kompozycyjnych; nauczyciel powinien zastosowywać metodę poglądowo-rozumową, zniewalając niejako ucznia do myślenia w pożądanym kierunku, a następnie do wyprowadzenia z poszczególnych spostrzeżeń ogólnych wniosków, co jest podstawą samodzielnej twórczości.

Książka p. Malanowicza napisana jasno, treściwie, a celowo, może przynieść wielką korzyść, zarówno dla nauczycieli rysunków technicznych, jak też i dla osób, pragnących samodzielnie kształcić się na tem polu. Zawiera ona wiele wskazówek czysto praktycznych, ułatwiających pracę nawet dla samouków. Podnieść tu należy bardzo pożądaną usiłowania p. Malanowicza, który dąży do spolszczenia nazw przyborów rysunkowych, stale dotąd noszących obco brzmiące nazwiska; autor bardzo trafnie i zgodnie z duchem języka naszego wyszukuje dla nich nazwy polskie.

Niska cena tego tak bardzo pożytecznego podręcznika, przy wysokiej jego wartości pedagogicznej da możliwość korzystania z niego dużej ilości osób zainteresowanych tym przedmiotem.

(Z. Sk.-St.)



Warunki pracy zarobkowej kobiet u nas.



IV.

Modniarki.

Warunki higieniczne, w których pracują modniarki, są znacznie lepsze, niż w innych gałęziach przemysłu: przy pracy nie trzeba używać żadnych, szkodliwych dla zdrowia materiałów, praca odbywa się przeważnie w sklepach, gdzie jest dość światła i powietrza; w większych przedsiębiorstwach pracują w obszernych i widnych salach, które dzięki specjalnym warunkom tej gałęzi przemysłu, muszą być utrzymywane w czystości i nawet z pewną elegancją; praca nie tylko nie przeszkadza, ale nawet wymaga od robotnic, aby ubrane były czysto.

Ale za to warunki materialne w tym zawodzie są znacznie gorsze, niż we wszystkich innych, obsługiwanych przez kobiety, a przyczyną tego oplakanego stanu jest przede wszystkim to, że fach ten został uprzywilejowany, dzięki czemu utrwalił się zwyczaj, że każda kobieta, która chce w nim zacząć pracować, nie tylko musi pracować jakieś 2-3-letnie darmo, jako „terminatorka“, ale musi jeszcze dopłacać jakieś 50-100 rubli za naukę.

Zwyczaj ten ma złe skutki, gdyż robotnica na kilka lat jest przykuta do jednego miejsca i przyczynia się do rozwinięcia drobnego przemysłu, t. zw. „chałupnictwa“, co przeszkadza rozwinięciu się w tym fachu przemysłu wielkiego.

Dla robotnicy-modniarki stać się majstrową — jest to rzecz bardzo łatwa; dużych zapasów towaru w takim mieście, jak Warszawa, nie potrzeba, — kupcy są nawet o tyle uprzejmi, że chętnie kredytuują część materiału na kilka dni, a 100 lub 150 rubli, potrzebne na wynajęcie lokalu i urządzenie, można łatwo dostać. Wystarczy przyjąć 2, 3 terminatorki, które zgóry płacą za nauczenie fachu.

Dzięki temu, cała Warszawa pokryta jest gęstą siecią drobnych „magazynów“ lub „pracowni damskich kapeluszy“, za to większych

fabryk mamy w Warszawie tylko 3 (Bosz, Sara i Berkman).

Mniejsze pracownice mogą pracować za niższą zapłatę: (lokal ich nie kosztuje, koszty lokalu zawsze pokrywają dochody z opłat pobieranych od terminatorek), robotnicom także płacić nie trzeba, pracują one zaś po 15 godzin na dobę.

Na zbytne przeciążenie pracą, robotnice w fachu tym nigdy się skarżyć nie będą, ponieważ tu im nie płacą za robotę, a przeciwnie, one płacą za to, że pozwalają im pracować, niby w ich interesie dla nauki. Szczytem marzeń każdej modniarki jest zostać samodzielną majstrową, ale położenie takiej majstrowej także nie jest do pozazdroszczenia, ponieważ musi ciężko pracować, a wielkich zysków magazyn mód, lub pracownia kapeluszy nie przynosi, konkurencja w tym fachu okropna.

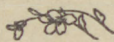
Przy ciężkiej pracy majstrowa zaledwie może zarobić na chleb. Ale co ma robić? Pracować u innych w tych warunkach, w których pracują w tym fachu, jest jeszcze gorzej.

Kiedy terminatorce kończy się już „termin“, i ona już staje się czeladniczką, musi się zgodzić na te warunki marnej płacy, które jej ofiarują, albowiem znaleźć miejsce w innej pracowni, dzięki temu, że każda pracownia szuka bezpłatnych terminatorek, jest bardzo trudno, robotnicą zatem musi pozostać u tej majstrowej, u której wyuczyła się swego fachu, ponieważ ta znów musi ją trzymać i za jej pracę coś płacić. Nic zatem dziwnego, że nawet takie robotnice, które pracują już 10 i więcej lat zarabiają nie więcej nad 12 rubli na miesiąc.

Robotnice-modniarki nie mało cierpią także wskutek tego, że robota w tym fachu jest tylko sezonowa, przez cały rok pracują tylko w małej liczbie większych pracowni, w licznych mniejszych pracowniach pracują tylko podczas sezonu, t. j. że w przeciągu 4-5-ciu miesięcy w roku robotnice nie mają żadnej pracy i przez to drobny zarobek robotnic jeszcze bardziej się zmniejsza.

Prawda, że od czasu powstania „Związku zawodowego modniarek“ robotnicom większych fabryk i pracowni udało się znacznie byt swój polepszyć, ale ponieważ to polepszenie bytu tyczy się wyłącznie małej liczby robotnic większych fabryk, nie można podawać go za warunki ogólne.

S. T.



Czego im brak?



Być w Brwinowie, a nie zwiedzić szkoły rolniczej w Pszczelinie, równałoby się bytności w Rzymie z pominięciem Watykanu. Nie chcąc popełnić podobnej niewłaściwości, wybrałem się tam w towarzystwie znajomej, studentki krakowskiego uniwersytetu, która, jako stała mieszkanka Brwinowa, zna dobrze Pszczelin i chętnie moim przewodnikiem być zechciała.

Idziemy więc na przelaj, po przez małe łączki i półka chłopskie. A słońce Wrześniowe leje na nas całe strugi swego przeczyste-

go światła i stroi ubogą ziemię Mazowiecką, w całą gamę jesiennych barw.

Na horyzoncie, ogromnym półkolem, zieleni się las sosnowy, tu i owdzie purpurowo-złotą plamę liściastych drzew poprzecinany. Powietrze ciche, ciepłe, gdyby nie te barwy jesiennie, nie podorywki i rdzawe kartofliska, możnaby przysiąc, że to wiosna. Piękny dzień działa na nas doskonale, rozmowa bieżąca chyżo, niby ten górski potok. Zabudowania murowane, piętrowe widać zdala. Rysują się na tle zieleni dużego sadu porządnie oparkanionego. Szkoła istnieje od lat sześciu. Sześć lat zaledwie! a jaki już bogaty plon wydała. Brama, na oścież otwarta, zda się zapraszać przechodnia, aby przyszedł, — popatrzył, no i wyszedł zachwycony tem, co tutaj zastał.

Wchodzimy. Rozglądam się dokoła, Uderza porządek i ład ogromny. Zabudowania szkolne, mieszkalne i część gospodarstwa mieszczą się wśród dużego, kilkunasto-morgowego sadu, podzielonego na kwatery, przerżnięte porządnie wygracowanymi uliczkami, obsadzonymi prostymi kwiatami. Spotykam tutaj okazy Flory takie, jakie widywałem w dzieciństwie, w małych dworach szlacheckich, a obecnie po ogródkach, na probostwach i przy chłopskich zagrodach.

Jest tego kwiecia dość. Woń przepelnia powietrze, a oczy z przyjemnością spoczywają na gorących barwach, nagietek, georginii i gwoździków.

Nad Pszczelinem całym unosi się w to jesiennie popołudnie, uroczysta, świąteczna cisza. Uczniowie korzystają z niedzieli; widzimy ich grupkami spacerujących po ogrodzie i gwarzących półgłosem. Tu i owdzie migie nam jakiś zaczytany chłopak, zatopiony doszczętnie w książce. Nie mamy czasu jednak robić długich, milczących obserwacji, bo oto z budynku szkolnego wychodzi ku nam jeden z nauczycieli, znajomyj mojej przewodniczki. Szczera, dobra twarz, rozumne, ciepło patrzące oczy, rzeźki wygląd fizyczny, dobrze od razu do niego uprzedzają. Gotów jest oprowadzić nas, zaczynamy więc gawędzić, a jednocześnie zwiedzamy ogród, szkółki owocowe, prowadzone na dochód, b. zasobne w rozmaite gatunki i sprzedawane po niższych cenach, niż u ogrodników.

— Robotnik nas nie kosztuje, możemy więc sadzonki nasze sprzedawać taniej od ogrodników, — objaśnia mnie nprzejmy przewodnik.

Przyglądam się jarzynom i podziwiam, co praca ludzka i wiedza fachowa mogą uczynić, nawet z gleby tak ubogiej, jak ta, na której został założony Pszczelin. Wygląd kapusty i buraków zwłaszcza, sprawia aż groteskowe wrażenie swoimi rozmiarami. Kapusta sadzona jest rzadko, o łokieć jedna od drugiej i nie na grzędach. Po obejrzeniu ogrodu, idziemy w pole. Mijamy małą łączkę, porośłą soczystą trawą, niezmiernie zwartą, na której pasie się kilka krów, dobrze utrzymanych. Na łące leżą w „gwiazdę“, jak to zwyczajem u pastuchów, Pszczeliniaacy i rozmawiają z ożywieniem.

Dolatują nas pojedyncze słowa, nawet nie zupełnie dystygowane zwroty i wybuchy młodego, jędrnego śmiechu.

Przewodnik objaśnia, które grunta należą do Pszczelina, a które są wydzierżawione tylko. Z przyjemnością sprawdzam areystarską uprawę, wczesne zasiewy, jednym słowem, widzę ziemię, utrzymaną w kulturze, uprawioną z miłością, fachową znajomością praw przyrody i agronomicznych wymagań ostatniej doby. Dziwi mnie jeno ręczny siew. Rzucam pytanie o narzędzia rolnicze i stwierdzam, że dotknąłem w bolączkę Pszczelina. Bolączką tą jest brak funduszy na narzędzia rolnicze i tu leży powód, dla którego Pszczelin, ta wzorowa szkoła rolnicza dla

synów włściańskich, nie może się zdobyć do-
tąd, na kupno siewnika.

— Czyż doprawdy niema na to pieniędzy?

— Środki utrzymania są bardzo skąpe, gdyby nie pomoc dobrych ludzi, nie mogli-
byśmy związać końca z końcem, pomimo, że
rządźmy się oszczędnie.

— A czy nie zwracaliście się panowie
z propozycją o ofiarę do firm rolniczych?
W Ameryce, choćby w takich Niemczech,
Czechach, lub Danii, każdy poważny, rozu-
miejący swój interes skład maszyn, uważałby
za dobry interes ofiarowanie takiej szkole,
jak wasza, podobnego daru.

— Istotnie, nawet z punktu handlowego,
zapatrując się na taki obywatelski czyn, był-
by to interes. Z naszej szkoły rok rocznie,
wychodzi 60-ciu uczniów, którzy rozchodzą
się po różnych okolicach kraju, a ponieważ
dawni uczniowie nie zrywają ze szkołą sto-
sunku, więc można twierdzić bez przesady,
że echo takiego czynu rozeszłoby się po ca-
łym kraju i przysporzyłoby firmie takiej, całe
setki klientów.

Właśnie mija nas dwóch uczniów, zajętych
żywą rozmową.

Zatrzymuje ich i pytam o ów siewnik,
który ich tak zajął na wystawie w Ciechano-
wie i proszę o zanotowanie nazwy. Jeden
z nich zapisuje mi na kartce notatnika po-
rządnie kaligraficznym pismem, co następuje:

„Siewnik Pracnera, 9-cio rzędowy, na skła-
dzie u firmy Grodzkiego. Cena 100 rubli.“

— A na co to panu potrzebne, jeśli mo-
żna spytać?

— Chciałem wiedzieć, jaki siewnik pragnę-
libyście mieć tutaj. Mnie osobiście nie stać
na ofiarowanie Pszczelinowi takiego daru,
ale spróbuję coś o tem napisać, może się
znajdzie ktoś taki, co wnuknie w to wasze
pragnienie i dar taki wam nadesłże.

Chłopakom oczy rozbliły radością, na sa-
mo przypuszczenie podobnej możliwości.

— A toby to było szczęście dla naszej
szkoły!

Od owej rozmowy mojej z Pszczelinami
upłynęło sporo czasu, a mnie w pamięci jeszcze
stoją te młode i szczerze twarze i te oczy roz-
gorzałe ideową radością.

Dlaczego jednak to wszystko, tak długo
i szeroko opisuję w piśmie kobiecym? Oto
przedewszystkiem dlatego, że radbym, aby
siewnik dla Pszczelina zakupiły kobiety-zie-
mianki, jako te, które najlepiej zrozumieć są
w stanie niezbędność takiej maszyny rolni-
czej dla szkoły, przygotowującej wzorowych
rolników małorolnych. Obecnie na wsi, tu
i owdzie odbywają się zjazdy rolnicze, na
których bywa zazwyczaj po kilkudziesięciu
ziemian, otóż, możeby przy okazji podobnej
znalazła się taka kobieta, któraby tym ze-
braniem obywatelom kraju zaproponowała
składkę na siewnik dla Pszczelińskiej szkoły.

Sądzę, że gdyby ta propozycja zrobiona
była w słowach prostych a serdecznych, umi-
łowaniem ogólnego dobra tętniących, nie zna-
lazłby się nikt, coby się od składki na ten
cel uchylił. Pieniądze na kupno tego, tak
gorąco przez uczniów pszczelińskich pożąda-
nego siewnika, możnaby nadesłać do redakcyi
„Bluszczu“, a niżej podpisany zająłby się
formalną stroną tej sprawy.

A więc, panie obywatelki, pomyślcie nad
tem, czyby przy jakimś, w poważnym celu
zwołanem zebraniu, nie warto poruszyć sprawy
daru tak niezbędnego dla szkoły rolni-
czej.

„Ce que femme veut, Dieu le veut,“ więc
chciejcie tylko, a da Bóg, niezadługo, półka
pszczelińskie obsiane będą chlebobajnym zbo-
żem, w piękne, równe rzędy. St. Poraj.

P. S. Składkę na siewnik Pracnera dla
Pszczelina, otwieram skromnym datkiem 1-go
rubla.

Z Akademii dla kobiet.

Staraniem Związku Katolickiego kobiet za-
łożono Akademię dla kobiet; w dniu 23-cim
z. m. rozpoczęła wykłady; uczennic zapisała
się znaczna liczba. Pierwszy rok jest kursem
ogólno-kształcącym; na kursie tym, na żąda-
nie uczennic, mają być przygotowywane do
egzaminu na rządowy patent „nauczycielki
domowej,“ najwyższy, jaki w Państwie jest
dla Polek dostępny. Po ukończeniu kursu
ogólno-kształcącego, studentka wybiera fakul-
tet filologiczno-historyczny, lub matematycz-
no-przyrodniczy. Kurs fakultetu dwuletni.
Przy wstąpieniu wymagalne świadectwo z 6-ciu
klas pensyi lub 7-miu z gimnazyum. Opłata
roczna rubli 150; oprócz studentek rzeczywi-
stych przyjmują się wolne słuchaczki na od-
dzielne przedmioty.

W program nauk wchodzi w roku przygo-
towawczym, jako przedmioty obowiązujące:
zasady religii, logika i pedagogika, jako przed-
mioty do wyboru:— literatura polska i rosyj-
ska, historia i geografia, matematyka, che-
mia, fizyka, anatomia, higiena, fizjologia, hi-
storia cywilizacji, ekonomia, prawoznawstwo,
historia powszechna, oraz języki: francuski,
niemiecki, angielski i łacina.

Program fakultetu historyczno-filologiczne-
go obejmuje filozofię religii, pedagogikę, psy-
chologię, historię powszechną, historię filo-
zofii, cywilizacji i pedagogiki, historię sztuki,
estetykę, ekonomię polityczną, prawo, lite-
raturę i języki; fakultet matematyczno-przy-
rodniczy: matematykę, chemię, fizykę, zoolo-
gię, botanikę, biologię, mineralogię, geologię,
paleontologię, krystalografię, kosmografię, astro-
nomię i geografję.

Uniwersytet mieści się w skromnym, lecz
obszernym i w środku miasta położonym
punkcie, przy ul. Marszałkowskiej, pod N-rem
68-ym. N. J.



Nowa szkoła gimnastyki.

W dniu 9-ym Października o godz. 2-giej
po południu, ks. Gąssowski dopełnił poświę-
cenia nowego lokalu szkoły gimnastyki i ma-
sazu pani Heleny Prawdzic-Kuczalskiej, przy
ul. Marszałkowskiej pod n-rem 74. Szkoła ję-
zyków obcych dla dzieci, mieszcząca się
w tymże lokalu, otwarta zostanie w najbliż-
szym czasie

Z listów do „Bluszczu.“

Mława, w Październiku.

DZIAŁ EKONOMICZNO-GOSPODARCZY.

Piękny Wrzesień doskonale wpłynął na
dojrzewanie owoców, które przez lato od desz-
czów mocno ucierpiały. Letnie owoce prawie
zupełnie opadły, późniejsze gatunki, zwłasz-
cza jabłek, gruszek i śliwek, wspaniale wśród
promieni słonecznych wyglądają.

Zbiór wszakże jest opóźniony, nie wszyst-
kie winogrona dojrzały. Jarzyny jeszcze naj-
piękniej się rozrastają, tanie, pomidory zale-
dnie dojrzewają, ogórków było mało i drogie.

Robotnik bardzo drogi z powodu zwykłego
wychodźstwa do Prus. Wielu jednak, zwłasz-
cza tych, którzy poszli na Pomorze i w Po-

znańskie, a znaleźli się u pracodawców Niem-
ców, uskarża się na złe, wprost nieludzkie ob-
chodzenie.

Dział gospodarstwa kobiecego na bardzo
nizkim stopniu, prócz jedynej mleczarni, pro-
wadzonej wzorowo przez p. Zofię Rościszew-
ską w Mławie, nic innego nie produkują.

Hodowla drobiu, jak utrzymują, nie opłaca
się, z powodu nadmiernych wymagań służby,
koniecznej przy takiej hodowli. z.



Zjazd Litwinek.

Z inicjatywy panny Gabryeli Pietkiewi-
czówny, literatki, pisującej na Litwie pod
pseudonimem Bite (pszczoła), odbył się w Ko-
wnie, w dniach 6-ym i 8-ym b. m. pierwszy
zjazd Litwinek.

Pierwszy referat wygłosiła panna Kimont-
tówna, „O obowiązkach kobiety,“ która po-
winna się kształcić i umoralniać. „Mężczyźni—
mówiła—nigdy nie będą moralni, jeżeli kobiety
cnotliwe nie będą.“ Referat ten przyjęto
oklaskami. Następnie przemówiła pani Leo-
nasowa, o kulturalnych żądaniach kobiety.
Pani Plejris-Pujdowa o nienormalnem poło-
żeniu kobiety, o potrzebie organizacyi kobiet,
w celu wywalczenia praw cywilnych. Żądała
złożenia w Dumie petycyi, domagającej się
równych praw z mężczyznami.

Wieśniaczki opowiadały o swoim trudnem
położeniu w rodzinie, o cierpieniach, jakich
doświadczają od mężów, często brutalnych pi-
jaków. Pani Żemajtisowa, znana autorka, mó-
wiła „o krzywdach dziewcząt wiejskich;“ prze-
mawiało też kilku mężczyzn, oświadczając,
iż lepsza część mężczyzn gotowa jest nieść
pomoc kobietom i walczyć o ich równoupraw-
nienie.

Książd Tumas ubolewał nad tem, że mał-
żeństwa mieszane Litwinów z Polakami zawsze
wychodzą na korzyść polskiej narodowości.
Potem mówił książd Olszewski o potrzebie
oświaty.

W drugim dniu Zjazdu odczytano referat
p. Wojtkiewiczowej w sprawie organizacyi
kobiet, pisma specjalnego dla nich, i podnie-
sienia kultury ojczyznej.

P. Kimonttówna dowodziła, że kobiety po-
winny żyć samodzielnie, lub pracować razem
z mężczyznami, jako ich towarzyszkami, nie
wytwarzając sztucznego przedziału.

Ks. Tumas mówił o kobiecych kółkach rze-
mieślniczych.

D-r Grinius zaproponował następujące re-
zolucye:

1) Zjazd kobiet Litwinek uznaje, że trzeba
dla polepszenia bytu kobiet Litwinek zaraz
utworzyć wielki Związek kobiet litewskich,
jako dział autonomiczny „Ligi równoupraw-
nienia kobiet w państwie rosyjskiem.“

2) W celu podniesienia poziomu kultural-
nego i ekonomicznego kobiet litewskich nale-
ży utworzyć zawodowe Związki, wspólnie
z mężczyznami.

Rezolucye te spotkały się przecież z opo-
zycją.

Po kilku jeszcze przemówieniach przyjęto
zaproponowane przez prezydium rezolucye:

1) Dla wywalczenia praw kobiety powstaje
Związek na zasadach łączności z podobnymi
Związkami innych narodów.

2) Dla polepszenia bytu domowego, same
kobiety będą tworzyły Związki podług swego
fachu.

3) Związki kobiece działają oddzielnie, albo
razem z mężczyznami i

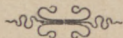
4) dla utworzenia tego związku będzie utwo-
rzony komitet z 10-ciu osób: 6 z Wilna i 4
z innych miejsc. Siedliskiem komitetu jest
Wilno.

W końcu odczytano referaty: p. Pietkiewiczówny: „Nasze obowiązki względem dorastającego pokolenia,” p. Kimontówny: „Jak nauczać historii Litwy,” p. Lulewiczówny: „O kształceniu dzieci w nauce i pracy,” p. Pietkiewiczówny: „O szkołach,” p. Robaszewskiej: „O gospodarce żeńskiej,” p. Lebkowskiej: „O przemyśle domowym, mianowicie o tkactwie,” p. Czunkisówny: „O szkołach rękodzielniczych,” p. Miłoszajtisówny: „O wstrzymaniu pijaństwa na Litwie,” p. Zemajtisówny: „O pijaństwie kobiet,” p. Augustinajtisówny (służącej): „O szkołach dla sług.”

Na Zjazd ten przybyli delegaci i delegatki Towarzystw i redakcyi litewskich, łotewek kowieńskich, nadesłano mnóstwo telegramów i listów powitalnych.

W drugim dniu Zjazdu kilka Polek, obecnych na zebraniu, tłómaczyło się przed Litwinkami, że nie wystąpiły publicznie w obawie spotkania się z niezyczliwością.

Jak pisał pisma litewskie, niektórzy księża litewscy usiłovali wziąć Zjazd pod swoją opiekę i rozpoczęli w tym kierunku agitację, ale zabiegi ich spotkały się z opozycją. Przeciwnim głosowali młodszy księża.



Kronika działalności kobiecej.



— Z Kasy kobiet.

W niedzielę ubiegłą, t. j. w d. 20-go b. m., o godzinie 1-iej w południe, wobec przedstawicieli prasy i licznie zebranych zaproszonych gości, ks. Włodzimierz Kirchner dokonał aktu poświęcenia sklepu, założonego przez uczestniczki Kasy przezorności i pomocy dla kobiet pracujących, mieszczącego się przy biurze tejże Kasy przy ulicy Nowy-Świat Nr 37.

Założenie sklepu własnego jest ważnym krokiem w rozwoju tej instytucji, tem więcej, że odpowiednio urządzonej lokal, obejmuje nader szeroki zakres pracy kobiecej, od najzwyklejszych, skromnych potrzeb gospodarstwa domowego do robót wykwalifikowanych i produkcji artystycznych.

Wyroby uczestniczek rozspecjalizowano na działy.

Dział 1-szy obejmuje wszelką krawiecczyznę, szycie bielizny, przyjmuje obstalunki, posiada gotowe bluzki, halki, sukienki dziecięce, matinki, szlafroki i t. p., oraz formy biurowe, dostarczane przez panie: Mercère i Borówkową.

Dział 2-gi. Roboty kościelne, hafty białe i kolorowe, znaczenie bielizny, duży wybór robót haftowanych na płótnie, pluszu, atłasie i t. p.

Dział 3-ci. Sztuka stosowana, różne wyroby artystyczne, jakoto: szkatułki, ramki, obrazy, gobeliny, karty pocztowe i t. p.

Dział 4-ty. Malarstwo, obrazy treści religijnej i figury świętych z terrakoty.

Dział 5-ty. Reparacje wszelkiej bielizny, cerowanie i nadrabianie pończoch i skarpetek, gotowe wyroby pończosznice.

Dział 6-ty. Modniarstwo, oraz wyroby kuśnierskie.

Dział 7-my. Gospodarstwo domowe, marmelatki, soki, konserwy, konfitury, obiady prywatne i t. p.

Przyjmuje się powiększenia z fotografii, przepisywanie na maszynach, korespondencje i tłómaczenia w językach: rosyjskim, angielskim, francuzkim, niemieckim, zamówienia na czesanie pań przez zdolne fryzjerki.

Nadto znajdują się w sklepie stylowe wyroby włóściarskie, hafty i wyroby niciane.

— Z koła Ziemianek.

Zarząd zjednoczonego Koła Ziemianek zamierza urządzić przy współudziale pierwszorzędnych sił nauczycielskich szereg wykładów z dziedziny pedagogiki, higieny, nauk społecznych, oraz historii sztuki.

Kursy pielęgniarstwa pod kierunkiem d-ra Fruchtmana i przy udziale najwybitniejszych sił lekarskich już się rozpoczęły.

Bliższych wiadomości udziela Biuro informacyjne Koła (ulica Foksał n-r 18), pomiędzy godziną 10-tą rano a 3-ią po południu

Z. S.



Chwila bieżąca.



— W Petersburgu komitet prawoborców polskich, zamieszkałych w temże mieście, otrzymał od naczelnika miasta pozwolenie na zebranie, z prawem dyskusji w języku polskim.

— Ministerjum spraw wewnętrznych zatwierdziło na rok przysły nowy podatek na zakłady dobroczynne, z którego suma rubli 30,124 kop. 37, przypada na gubernię Warszawską, na miasto Warszawę zaś z sumy tej rubli 30,007 kop. 4.

— Dla zbadania położenia kobiet, pracujących w aptekach, odbyło się w Warszawie posiedzenie, pod przewodnictwem p. Ziemińskiej. Mężczyźni żądają tylko, aby kobiety nie obniżały normy wynagrodzenia, natomiast publiczność nie darzy zaufaniem kobiet-aptekarek. Postanowiono wybrać komisję, złożoną z aptekarzy kobiet i mężczyzn, dla zebrania materiału i dalszego zbadania tej sprawy.

— Ks. prałat Antoni Szaniawski, redaktor i wydawca tygodnika „Chłop polski,” stał w tych dniach przed izbą sądową karną, oskarżony na mocy artykułów prawa. Obrazy dopatrzył urząd prokuratorski w wierszu p. t. „Do ukochanej ojczyzny,” jakoby szerzącego nienawiść do Rosyan. Ks. prałat został skazany na zamknięcie w klasztorze.

— Redaktora „Kukułki,” Antoniego Orłowskiego, sąd okręgowy skazał na miesiąc aresztu, zaś Adama Sobieszczńskiego, redaktora „Taniej biblioteki dla wszystkich,” za wydanie wyboru poezji Wincentego Pola p. t.: „Pieśni Janusza,” na sześć tygodni.

— W sprawie znalezienia przez policję w Styczniu r. b. przy ulicy Grzybowskiej pod n-rem 6-ym składu literatury nielegalnej, w mieszkaniu Józefa Uziębły, został on skazany na ośm lat ciężkich robót, zaś z osób, znajdujących się podczas rewizji w mieszkaniu: Antoninę Uziębłą, Władysława Rochwalskiego i Anę Krasuską na osiedlenie.

— Dla prowadzenia spółki handlowej moskiewskiej „Chłopok” (Bawelna), podpisali akt rejentalny w Aleksandrowie, dokąd się zjechali, pp. Ignacy i Herman Poznanci, Jakób Gerz i Lewiński.

— W sferach kadeckich wywołało panikę usunięcie Hessena. Ponieważ Hessen dla spełnienia obowiązków poselskich przemieszczał czas jakiś w Petersburgu, więc z obrachunku wynikło, iż nie przemieszczał całego roku w Lesnym, i to postużyło do wykreślenia go z listy prawoborców. Podobny powód, jak donoszą pisma rosyjskie, wynaleziono także przeciw Milukowowi.

— Redaktor „Moskowskich Wiedomości” Gringmuth, zakończył życie. Nawet pisma rosyjskie niezbyt pochlebnie oceniają człowieka, który był naszym nieprzejednanym wrogiem, zaciekle monarchistą, a choć wyznawał zasady i wstępował w ślady poprzednika swego, Katkowa, nie miał ani jego rozumu, ani talentu.

— W sprawie organizacyi komór w Mandżurii doszło do porozumienia pomiędzy rządem rosyjskim a chińskim jest to bardzo ważna kwestya dla handlu wzajemnego.

— Zdrowie sędziwego cesarza austriackiego pogorszyło się znacznie, co przy poważnym wieku budzi obawy.

— Z Londynu wysłano dla króla Sjamu kosztowności wartujące kilkaset tysięcy franków, zostały one skradzione z pociągu w drodze pomiędzy Rzymem a Neapolem.

— Coraz więcej kobiet poświęca się literaturze. W Ameryce i Anglii literatura powieściowa przeważnie uprawiana jest przez kobiety. We Francji, gdzie obliczają piszących mężczyzn na 25,000, kobiet liczą 5,000.

— We Włoszech wrzenie rewolucyjne nie ustaje, ponieważ „Związek przemysłowców” uchwalił zamknąć na czas pewien fabryki, więc Izba robotnicza w Turynie ogłosiła bezrobocie powszechne. Zmuszono drukarnie, gazownię i zakłady elektryczne do zaprzestania pracy. Rozruchów nie było.

— W Ameryce, w fabryce prochu w Fontanet, nastąpił wybuch prochu, skutkiem którego zginęło 700 osób. O kilka mil angielskich znajdowano szczątki ciał nieszczęśliwych robotników. Wstrząśnięcie było tak wielkie, iż skutkiem jego zawałiła się szkoła, w której znajdowało się 200 dzieci. Na razie niewiadomo wiele z nich zginęło lub odniosło rany.



ODPOWIEDZI ADMINISTRACYI.

— W-ny Karol Szepe w Kijowie. — „Bluszcz” dla W-nej Zabłockiej odesłaliśmy do księgarni Gebethnera i Wolffa.

— W-ny Triesendorff w Rydze. — N-r 28 wysłany powtórnie.

— W-na Floryańska w Olszance. — N-ra; 12, 14, 28 i 40-ty wysłane powtórnie.

— W-ny Mary Holder-Eggez w Korytnicy. — „Bluszcz” wysłamy bezzwłocznie.

— W-ny St. Kozarski w Głuchowie. — N-ra 33 i 35 wysłaliśmy powtórnie.

— W-na K. Miłobędzka, Olszanka w Gruszce. — Za III-ci kw. „Bluszcz” dla Sz. Pani był wysłany, na co mamy dowód pocztowy. Sprawą tą zajmie się administracya nasza.

— W-na Aniela Buś z Kraśnika. — Odpowiedź jak dla W-nej Miłobędzkiej.

— W-ny K. Laszczyk, w Lubny. — Po widzeniu się osobiście z Sz. Panem, czekaliśmy do tej pory na odpowiedź, którą dopiero 25-go Października otrzymaliśmy. „Książnicę” tomy: 2, 4, 5, 8 i 10 wysłamy bezzwłocznie. Tomów 1 i 3-go nie wysłaliśmy wcale, gdyż w prospekcie ich nie było. Obecnie powiększonych wzorów do „Bluszcza” nie mamy.



Od Administracyi.

Dla całorocznych prenumeratorów „Bluszcza,” którzy wnieśli rubli 2 za 20 tomów „Książnicy,” dołącza się tom 14-ty („Książnicy” 17-ty), zawierający Wincentego Rapaackiego (syna „Humoreski.”

Trzeci numer:

Gdybyż to można... przez Z. Morawską. — Luźne kartki (wiersz), przez Tadeusza Kończyca. — Z doby obecnej, przez Stefana Gorskiego. — Ellen Key w świetle postępowych dążeń ruchu kobiecego, oraz reformy wychowawczej, zarys syntetyczny, przez Maryę Czesławę Przeworską (dokończenie). — Oskar Wilde (sylwetka), przez E. Żm. — Z pielgrzymki do Wilna, przez Józefową Kotarbińską. — Zapożno, nowela, przez Darwida (ciąg dalszy). — Praca dziei w zakładach przemysłowych w Ameryce, przez Wł. Zar. — Z literatury, przez Z. Sk. Stank. — Warunki pracy zarobkowej kobiet u nas: IV. Modniarki, przez S. T. — Czego im brak? przez St. Poraja. — Z Akademii dla kobiet, przez N. J. — Nowa szkoła gimnastyki. — Z listów do „Bluszcza”: z Mławy, przez z. — Zjazd Litwinek. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Chwila bieżąca. — Od Administracyi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 20-ty poświęcony Piotra Loti'ego z życia współczesnych haremów tureckich, p. t. „Rozczarowane,” w przekładzie M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami